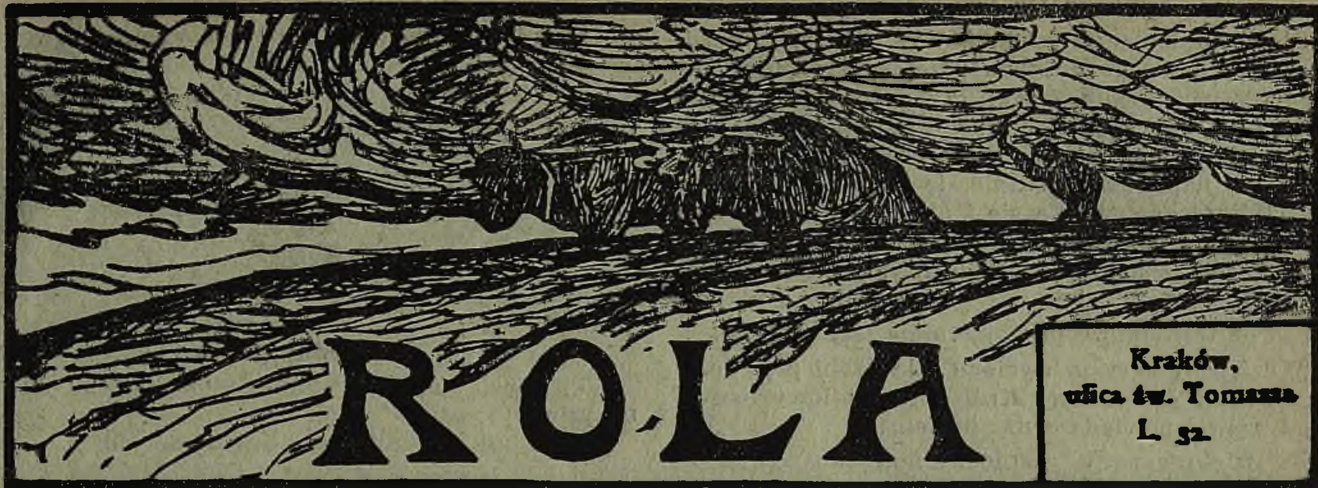
Numer 29. Nał. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 20 lipca 1930



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Można się pomylić.

Sławny fabrykant automobilów Henryk Ford, wybrał się pewnego dnia na przejażdżkę automobilem, oczywiście swojej marki. Przebywszy kilka kilometrów, spotyka na szosie innego automobilistę, któremu zepsuła się jego maszyna, również firmy „Ford", nad której naprawą daremnie się biedak mozolił. — Henryk Ford zatrzymuje się i ofiaruje turyście swą pomoc. Właził pod zepsute auto, pracuje pół godziny w pocie czoła, a nakoniec, ukończywszy naprawę, zadowolony, oświadcza:

—No, teraz może pan spokojnie jechać dalej.

Wdzięczny turysta wyciąga z kieszeni pięć dolarów i podaje je Fordowi. Król automobilowy usuwa jednak rękę i powiada z uśmiechem:

— Dziękuję panu, pieniędzy mam dosyć.

Turysta przygląda mu się ze zdumieniem, a następnie, patrząc na jego wóz, rzecze:

— Tego już nie rozumiem! jeżeli pan ma dużo pieniędzy, to czemu, u licha, jeździ pan Fordem?

Prosty rachunek.

— Ile pani ma lat?

— Dwadzieścia.

— Niemożliwe!

—Zaraz panu dowiodę. Ja miałam rok, a mój brat dwa lata — czyli był dwa razy starszy odemnie. Teraz on ma czterdzieści, więc ja mam połowę tego.

W kancelarji parafjalnej.

Ksiądz: Czemu tu pani tego pijanego sprowadza?

Pani: Bo chcieliśmy dać na zapowiedzi.

Ksiądz: No dobrze, ale w takim stanie?

Pani: Bo! Kiedy na trzeźwo, toby on tu nigdy nie przyszedł.

Wybredny piesek.

— Niech pani zawoła tego pieska, bo on mię ugryzie.

— E, nie! On surowego mięsa nie lubi!

Wytłumaczył się.

— Janie! co to ma znaczyć?.... Znów mi wyjąłeś cygaro z pudełka?

— Jaśnie panie, kiedy mi papierosy nie służą.

Historyk.

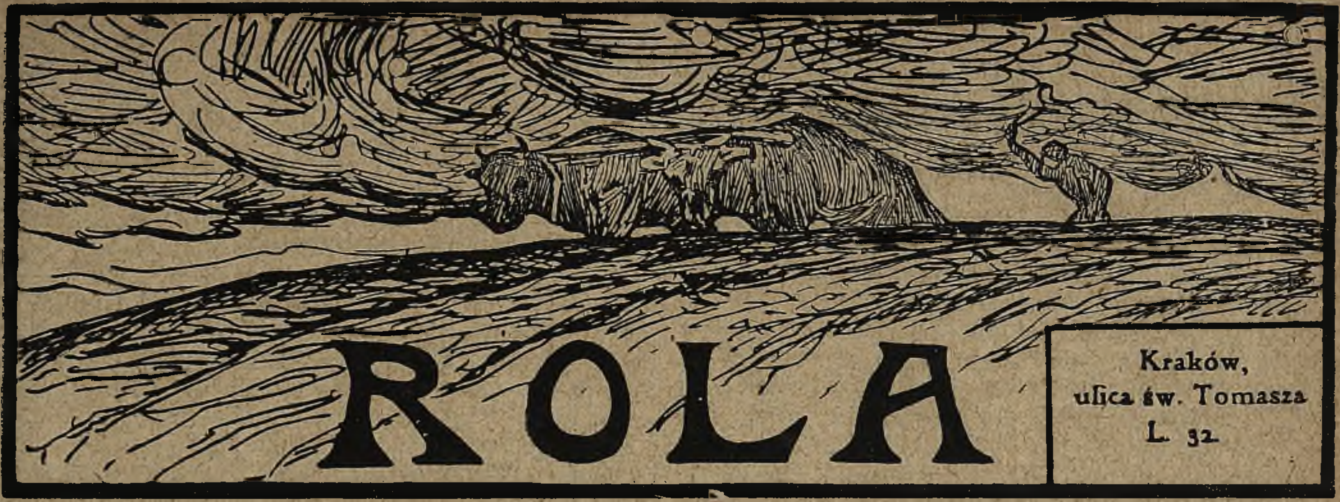
— Powiedz mi, ile wojen prowadzili Niemcy z Francją?

— Cztery.

— Proszę wyliczyć:

— Pierwsza, druga, trzecia, czwarta.

Numer 29. Rok XIII. Kraków, dnia 20 lipca 1930.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.86.

Prasa.

Wyraził się pewnego razu Napoleon, że prasa jest piątą potęgą świata. Bardzo słusznie, gdyż dzisiejsza prasa, to kaznodzieja ludzkości, którego ambonę stanowią wszelakie środki materjalne i naukowe a słuchaczem jego to świat cały. Pióro i druk choć niepokaźna napozór, jednak najskuteczniejsza broń, którą stacza się wszystkie nowoczesne boje.

By dowiedzieć się epoki powstania prasy, należy sięgnąć w przeszłość bardzo daleką, do czasów starożytnych. Już za panowania Cezara, powstał w Rzymie rodzaj dziennika dworu, w którym ogłaszano sprawy państwowe, a nawet i prywatne. Była to jednak prasa dopiero w kolebce. Z końcem w. XV. powstały w stołecznych miastach, w tych środowiskach kultury średniowiecznej Europy, prywatne biura, które za zapłatą rozsyłały co tydzień swym prenumeratorom wiadomości o zajściach politycznych i społecznych. Tygodnik ten jednak pisany ręką, kosztował bardzo dużo, przeto był przystępny jedynie tylko dla bogaczy. Dopiero w r. 1660 ukazał się w Lipsku dziennik „Gazeta Lipska", w której po raz pierwszy pojawiły się wiadomości polityczne, społeczne, a nawet i ogłoszenia. W Polsce, pierwszem perjodycznem pismem był „Merkury Polski", wychodzący regularnie w czasach panowania Władysława IV. — W w. XVIII. prasa polska się ustala, a za panowania Stanisława Augusta rozwinęła się dość szeroko, ograniczała się jednak tylko na podawaniu nowin i zdarzeń, gdyż cenzura państwowa krępowała swobodne wypowiadanie własnych myśli i zapatrywań.

Wiek XVIII. i XIX. zaznaczył się w prasie wielkimi postępami, zwłaszcza po rewolucji francuskiej i wielkich wynalazkach i stworzył nowoczesną, światową, wolną prasę. W ostatnich 50 latach wzrosła prasa olbrzymio i dziś wywiera stanowczy wpływ na dzieje ludzkości.

Dziś pisze się w gazetach o wszystkiem i wszystkich. W ogłoszeniach napotyka się sprzedaż i kupno wszystkiego, począwszy od proszku na owady, aż do miljonowych majątków.

Wpływ prasy jest olbrzymi. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że każdy numer gazety czyta przeciętnie 5 osób, a nakład gazety wynosi 100.000 egzemplarzy, przeto taki numer gazety czyta setki tysięcy ludzi.

Gazety piszą dziś nietylko o sprawach, które obchodzić mogą, ale piszą też często szeroko o zdarzeniach bez znaczenia, opisują sprawy wprost niemoralne, podkopując wiarę i cnotę. Rozróżniamy gazety dobre i złe. My Polacy-katolicy powinniśmy bezwzględnie popierać prasę dobrą, katolicko-narodową, która jak mur stoi na straży naszych skarbów katolickich i narodowych. Stworzenie silnej i potężnej prasy katolickiej, to jeden z głównych obowiązków nas wszystkich w dzisiejszych czasach, bo dobre, katolickie gazety, to najnowsze uniwersytety ludowe, pouczające i utrwalające lud w wierze i obyczajach, to uzupełniające szkoły dla dorosłych, to drogowskazy na rozstajnej drodze, to światło w ciemnościach. Natomiast gazety złe szerzą zgubne zasady wolnej nauki i wolnych obyczajów i prawie że są jedyną przyczyną upadku moralności, obyczajów i wiary, niszcząc wszystko co Boże, dobre i piękne. Należy więc wszelkiemi siłami utrącać i niszczyć prasę złą i przewrotną na każdym kroku. Dlatego hasłem naszem niech będzie: Popierać całemi siłami dobrą, katolicką prasę, a odrzucać precz od siebie pisma złe i przewrotne.

Piotr Wenc.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

Co z nim będzie, co z nim zrobi królowa?

Alhazira pogłaskała po szyi swego konia i rzekła najczystszą łaciną:

—Mamy lepszych szpiegów, niż wy.

Jeszcze za swoich studenckich czasów złościł się Rjumin na profesora, który starał się przyswoić mu język łaciński, dziś błogosławił jego pamięci w duchu, bo dziś bez tego nie byłby w tej przełomowej chwili zrozumiał, co królowa do niego powiedziała.

Już przez to, że królowa przemówiła do niego po łacinie, —okazała się damą wykształconą po europejsku, ba, posiadającą nawet większe wykształcenie, niż wiele w Europie t. zw. „wykształconych pań". Oszczędzała też widocznie obcego przybysza, nie chciała doprowadzić do awantury z wodzami Czerkiesów, bo ci byliby go bez pardonu zabili, gdyby się byli dowiedzieli, że ich oszukał co do swojej osoby.

Ta okoliczność dodała Rjuminowi odwagi.

Królowej Alhaziry nie potrzebował się obawiać, i dlatego również odpowiedział po łacinie:

— Skoro ci twoi szpiedzy, zacna królowo, donieśli o mnie, to pewnie też powiedzieli, że prześladuje mnie car rosyjski i jestem uciekinierem i nieszczęśliwym wygnańcem, — a nawet muszę szukać ochrony u nieprzyjaciół Rosji. Nie jestem więc jakimś awanturnikiem, przybyłym do tego kraju w złych zamiarach, ale naodwrót, chcę moje wiadomości i zdolności oddać na usługi kraju, w którym znajdę schronienie i opiekę.

Królowa, nie mówiąc ni słowa, skinęła głową. — Dopiero po chwili rzekła:

— To wszystko może być prawdą, ale też nią być nie musi. Zresztą i tak się o tem dowiem w najkrótszym czasie. Teraz jednak milcz i zastosuj się do moich słów.

Wiemy już, że Rjumin i królowa rozmawiali z sobą w języku łacińskim. Zaś naczelnicy czerkiescy, widząc, że wędrowny śpiewak używa tego samego języka, którym zagadnęła go królowa, spoglądali na niego jeszcze z większą czcią.

W mózgu Rjumina tymczasem dojrzał nadzwyczajny odważny plan. Kiedy przekonał się, że królowa oszczędza go przed Czerkiesami, odzyskał znów swoją poprzednią odwagę.

Alhazira zaś nakazała Rjuminowi i Ismenie usunąć się, a potem odwróciła się do naczelników i rzekła do nich:

— Dzielny wódz, którego książę kałgarski postawił na czele wojska, również godzi się na zawarcie pokoju. Czengli dostanie więc swoje złoto jako wynagrodzenie za niewinnie przelaną krew ojca, zaś naczelnik Jessydów każe usunąć błoto, wstrzymujące bieg rzeki Tundry. A skoro wszystkiego dokonacie, zapanuje wśród was na wieczne czasy pokój i przyjaźń. Gdyby znów ktoś trzeci chciał na was najechać, wtedy wystąpicie wspólnie przeciw niemu i wspólnie będziecie bronili swojej ziemi przed najeźdźcą. Zgadzacie się?

— Allah akbar, — zawołały oba wojska na dowód, że się zgadzają.

Również i Rjumin musiał się zgodzić, chociaż przez zawarcie takiego pokoju zamknęła się bezpowrotnie żelazna brama, z takim trudem zdobyta. — Ale wierzył, że potrafi wywieść w pole i tę mądrą królową.

— Jeszcze musicie wymienić waszą broń — powiedziała królowa do wodzów.

Ze swoją bronią nikt nie będzie walczył i dlatego przy zawieraniu pokoju przypisuje się wymianie tak nadzwyczajne znaczenie.

Kiedy się to już stało, a radosne głosy trąbek zwiastowały w obu obozach, że zawarto pokój, zwrócił się Czengli do Rjumina z słowami:

— A więc zniknęły przeszkody, nie pozwalające na urządzenie wesela. Twoja siostra staje się więc moją żoną.

Rjumin nie wiedział, co począć.

Wiedział, że musi usłuchać Czengliego, i nie wolno mu zerwać danego słowa. Nie pozostaje mu więc nic innego, jak pojąć czerkieską księżniczkę za żonę, a oddać Ismenę kałgarskiemu księciu.

Alhazira widziała jego rozpacz, nakazała mu więc milczenie, a sama powiedziała naczelnikowi:

— Tak prędko to nie będzie, kochany naczelniku, pokój wprawdzie zawarto, ale ja muszę mieć jakąś gwarancję, że warunki jego wypełnicie. Za naczelnika Jessydów wypłacam ci złoto, on znów ma wyczyścić koryto rzeki. Jest to olbrzymia robota, i cała jego armja musi się wziąć do pracy, aby ją ukończyła jak najprędzej. Jeżelibyście przypadkowo złamali przyrzeczenie i napadli na Jessydów, zajętych pracą, nie mogliby wypełnić zobowiązania, a ja straciłabym moje pieniądze. Dlatego biorę twoją narzeczoną i narzeczonego twej siostry jako zakładników i prędzej nie puszczę ich wolno, aż Jessydzi ukończą robotę, którą wykonać się zobowiązali.

Czengli się zdumiał, a oczy rzucały błyskawice. Swoją wściekłość musiał jednak wobec królowej hamować.

— Przysięgam na proroka, że sam chwycę za łopatę i pójdę pomagać Jessydom — wyrzucił z siebie.

Królowa Alhazira nie zwracała już na nic uwagi, podjechała do Ismeny, wzięła ją za rękę i odprowadziła do swojego orszaku.

Rjumin na dowód uległości według zwyczaju czerkieskiego położył rękę na piersiach i na czoło i ruszył za Ismeną. Nawet nie odważył się marzyć o tem, że cała sprawa dobrze się dla niego skończy, należał teraz do otoczenia królowej i mógł tym sposobem bez walki i bez rozlewu krwi dostać się do jej państwa, do tajemniczej ziemi złota.

Jak gdyby Alhazira poznała najtajniejsze życzenie jego serca, jak gdyby przeczuwała, czego jedynie pragnie. Tak, iść z nią, przebyć one góry, które były dla obcych niedostępne, to było jego celem, a od jego osiągnięcia zależy przyszłość jego rodziny! A skoro tam już będzie, skoro zbada tajemniczy kraj Udiów, ową ziemię złota i najdziwaczniejszych baśni, potem spróbuje osiągnąć cel najtrudniejszy, spróbuje zdobyć samą królową!

A z pewnością ją zdobędzie! Przecież i ona jest tylko kobietą.

Ogromnie mu to schlebiało, że królowa właśnie jego wybrała sobie za zakładnika. Okazała przez to, że ceni jego osobę wyżej, niż któregokolwiek wodza kałgarskiego. A zresztą i ona jest pewnie z tego samego ciasta, jak i te wszystkie kobiety i dziewczęta, poznane dotąd, a których serca zdobył w znacznej mierze.

Ale niedługo mógł się pieścić temi marzeniami, bo nagle wyrwała go z nich gorzka rzeczywistość.

Po zawarciu pokoju urządzono wspaniałą ucztę. Miała ona pokój, zawarty między Kałgarami i Jessydami, przypieczętować. Wśród szczepów kaukaskich panuje zwyczaj, że po zawarciu pokoju obaj pogodzeni współzawodnicy jedzą z jednego talerza, mianowicie podawają sobie wzajemnie potrawy do ust wprost rękami.

W czasie uczty wypito i kilka toastów, a Rjumin skorzystał ze sposobności i wypił toast na cześć cudnej królowej. Uroda jej zrobiła rzeczywiście na nim ogromne wrażenie, i zupełnie z tem się nie ukrywał. Naturalnie Alhazira zauważyła to, a znać było, że jej to sprawia przyjemność, dlatego też w różny sposób wyszczególniała rosyjskiego zbiega.

Nim królowa usiadła do stołu, zupełnie pod szczerem niebem postawionego, zrzuciła płaszcz, a teraz można było obserwować jej strój. Ubrana była w suknię z czarnego jedwabiu bez jakichkolwiek ozdób. Na jej szacie nie znalazłbyś ni śladu kawałeczka złota. Nie miała na rękach złotych bransoletek, ani pierścieni, wogóle nie miała żadnej biżuterji, chociaż była panią ziemi opływającej w złoto.

Sama uczta i towarzystwo mężczyzn pewnie ją nudziło, bo wstała od stołu prędzej, niż się spodziewano.

Kazała dać hasło do powrotu. Okryła się swoim czarnym płaszczem i włożyła srebrny hełm na głowę. Wracała do swego wojska, rozłożonego niedaleko, a odprowadzał ją wesoły krzyk pogodzonych.

Rjumin i Ismena szli za nią w milczeniu.

Nie można opisać tego uczucia, jakie opanowało Rjumina, gdy teraz kroczył za królową. Przeczuwał, że jego krokami kieruje jakieś szczęśliwe, trudne do wytłumaczenia przeznaczenie. Co przyniesie mu przyszłość? Czy ten niespodziewany obrót okaże się korzystny dla jego planów?

Jako mężczyzna musiał podziwiać tę nadzwyczajną kobietę. Wymowa jej doprowadziła do zawarcia zgody dwóch szczepów, gotowych do urządzenia wzajemnej rzezi i do bratniego uścisku i wydania wspólnej uczty. Podziwiał ją, a równocześnie złość go brała, bo różnie myślał o tej zmianie, a sądził, że lepiejby było dla jego zamiarów, gdyby był zniszczył Jessydów i na czele zwycięskich Kałgarów stanął na granicy królestwa, należącego do Alhaziry.

Był przekonany, że wojsko królowej nie jest znów tak doskonałe, jak to zrazu się wydawało i gromady dzikich Kałgarów, wiedzione doświadczonym wodzem, łatwoby je pokonały. I już też zaraz na własne oczy się przekonał, jak to w swem przypuszczeniu się nie mylił.

Kiedy przybyli do Udiów, ujrzał Rjumin żołnierzy rozkładających rozstawione armaty. Zdziwił się niepomiernie, gdy zobaczył, że na jednego osła wkładają koła, lafetę, wogóle całą armatę.

Nie potrafił zapanować nad sobą i przystąpił do armat, chcąc je oglądnąć. Alhazira i teraz odgadnęła jego myśli. Nim zdecydował się na postawienie zapytania, królowa sama zagaiła rozmowę:

— Przyglądasz się naszym armatom? Pewnie słyszałeś, że tubylcze szczepy nie posiadają armat? Tak, z jednej strony to prawda, ale z drugiej widzisz, że nie.

— Podziwiam mały ciężar tych armat — rzekł Rjumin, bo zapytanie królowej dodało mu animuszu.

— Niby są to armaty, a jednak niemi nie są — odpowiedziała królowa, uśmiechając się. — Potrafimy wyrabiać doskonałe strzelby, nie udają się nam jednak armaty. Nasi rzemieślnicy nie potrafią sporządzić armaty na sposób europejski. Mamy też lekkie działka, ale cóż, po pierwszym strzale pękają. Właśnie te armaty sporządzone są z kilku bronzowych łusek i dlatego też są tak lekkie. Można je nawet naładować na jednego osła. Z każdej armaty można tylko raz wystrzelić. Skoro padł jeden strzał, mosiężne łuski się rozszerzają i już trudno z nich strzelać po raz drugi.

— Dziwi mnie to, że tak ważny rodzaj broni, jakim są armaty, wyrabiacie jeszcze w tak prymitywny sposób — rzekł Rjumin. — Przecież armaty można wyrabiać o wiele łatwiej niż strzelby.

— Próbowałam już różnych sposobów i chciałam wyrabiać takie, jakie posiadają wojska europejskie — zapewniała go Alhazira — ale cóż, dotąd mi się to nie udało.

Rjumin wiedział o tem, jak buduje się armaty i już chciał królowej to powiedzieć, ale rozmyślił się i postanowił nic nie mówić. Nie wiedział jeszcze, jak ułoży się jego stosunek do tej nadzwyczajnej niewiasty. Alhazira jednak dalej mówiła:

— Mówisz, że prześladuje cię car rosyjski, który cię skazał i napędził jako najzwyklejszego zbrodniarza. Ogłoszenie wywieszone w Suszuk-Kaleh potwierdza wprawdzie twoje słowa, najlepiej jednak udowodnisz ich prawdziwość sam, jeżeli nauczysz moich rzemieślników wyrabiać takie armaty, jakie posiadają Rosjanie. Wtedy rzeczywiście uwierzę, że jesteś wygnańcem, prześladowanym przez Rosjan, wtedy cię uznam za godnego mojej ochrony i opieki.

Rjumin znalazł się w pułapce, a z niej trudno mu się było wykręcić. Alhazira bawiła się nim, jak kot z bezsilną myszką. Chwilę myślał, co ma zrobić. Jeżeli wypełni życzenie królowej, odda narodowi Udiów ogromną usługę, cały kraj będzie mu niepomiernie wdzięczny, a może tym sposobem zdobędzie i serce cudnej królowej. Może prędzej dojdzie do celu i zbada tajemnice ziemi złota, przestudjuje bogactwo i siłę odporną narodu, ziemię tę zamieszkującego.

Ale równocześnie dałby Czerkiesom straszliwą broń do ręki, której dotąd nie mają. Jeżeli nauczy ich wyrabiać armaty na sposób europejski i używać ich w walce, uniemożliwi podbicie tego narodu przez swych rodaków, bo potem dopiero bronić będzie naród ten ziemi zażarcie, a z drugiej strony przyczyni się do zadania rodakom wielkich krwawych strat, bo prędzej czy później ruszą oni i tak na podbój tychże. — Jeżeli zaś królowej odmówi, lub będzie się wymawiał, że nie umie armat wyrabiać, nie uwierzy mu, szczególnie teraz, kiedy wie, że był rosyjskim pułkownikiem. Z pewnościąby mu rzekła:

— Jesteś zdrajcą! Kazałeś rozszerzać o sobie fałszywe wieści, aby cię uważano za uciekiniera i abyś łatwiej zdobył nasze zaufanie.

A podobnym słowom towarzyszyłby wyrok pewnie dla niego bardzo nieprzyjemny; możeby go nawet zamordowano i niktby się nigdy nie dowiedział, jaki los go spotkał w tych dalekich krajach.

Rozmyślając tak, przypomniał sobie słowa generała, który pouczał go na drogę: „Staraj się jątrzyć naród przeciw narodowi, zyskać miłość pięknych kobiet, i nie szczędzić ani krwi, ani pieniędzy, tylko zdążać do swego celu". Te słowa były dla niego rozkazem, były mu gwiazdą przewodnią.

A teraz był tak blisko u celu! Rjuminie, pomyślał, przedstaw sobie, że z dziesięciu tysiącami Rosjan masz zdobywać te niedostępne skały. Trupy twych żołnierzy muszą wypełnić przepaści, aby inni po nich mogli iść dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zośka.

(Obrazek z życia).

(Dokończenie).

Władek, nie chcąc robić Zośce z tego powodu nieprzyjemności, postanowił wyjechać na jakiś czas do miasta. Może w tym czasie burza się uspokoi.

Spotkali się tedy raz jeszcze na pożegnanie. Och, pamięta dobrze. Był to cichy, uroczy wieczór. Wtuleni w siebie w milczeniu usiedli na ławeczce. Serca ich biły jednem tempem. Wpojeni w siebie czuli, jakoby już ostatni raz byli ze sobą. Z bystrych oczu Władka paliły jakieś ognie, jakaś ogromna siła, którą chciał przeniknąć Zośkę do głębi.

— Gdy powrócę, czyż taką cię zastanę?

— Bóg widzi, wierną ci będę — szepła z naciskiem.

— Zosiu! Czy wytrwasz?....

Nie dokończył słów Władek. Gorące łzy zdławiły mu ostatnie słowa. Nie mógł dłużej wytrzymać. Jeszcze jeden uścisk serdeczny, gorący, ostatni i... poszedł...

Nie widziała go Zośka więcej.

Upłynął rok. Tymczasem Franek nalegał. Nie było dnia, żeby nie przyszedł. Zośka z początku ani słyszeć nie chciała, — później, nie chcąc robić ojcu przykrości, pozwalała mu przychodzić. Lecz kochać go nie mogła. Jej serce oddane było Władkowi. Przysięgła sobie, że jeżeli on nie wróci, nie wyjdzie za nikogo.

Niestety inaczej się stało. Pod surowym przymusem ojca, musiała poślubić Franka. Płakała biedna Zośka, błagała ojca, nie pomogło.

Władka nie widziała już więcej. Mówiono o nim, że, dowiedziawszy się, iż Zośka wyszła za innego, wyjechał w świat. Inni mówili, że zwarjował.

O jak żal go jej teraz. Lecz dziś zapóźno! Dwa lata mija od jej ślubu. Nie zaznała jednak nic szczęścia, ni serdeczności. Franek ożenił się z nią tylko dla majątku. Zaraz po ślubie zapił się na nowo. Całemi dniami przesiadywał w karczmie. Żonę bił, kopał po pijanemu. Niszczała biedna w oczach. Z uroczej, rumianej Zośki, dziś został tylko cień. Była, jak drzewo podcięte, które lada wicher obalić może. — Wiedziała, że wkrótce umrze. Śmierci nie bała się, Wszak Bóg jej przebaczył.

Jednak czegoś chciałaby żyć jeszcze. Taka młoda, dopiero jej do życia było...

— — — — — — — — — — — —

Leży więc bezsilna w łóżku, wpatrzona tęsknie w stronę zachodzącego czerwono słoneczka. Po białych, jak wosk, jej licach spłynęła duża, czysta, jak kryształ, gorąca łza...

Poblisko bór szumiał, jak zwykle, swe dziwne jakieś zaklęcia. Majestatyczne jego tony chwytała Zośka z upojeniem. Jakiemś błogiem uczuciem napełniały ją każde silniejsze jego poszumy. O jak ona zawsze lubiła się wsłuchiwać w ten dziwnie tęskliwy akord falującego lasu. Z zamkniętemi oczami leżała cicho, wsłuchana całą duszą, dopóki sen nie zmorzył jej oczu.

Zasnęła mocno. Śniło się jej, że Władek przyjechał. O, taki sam dobry, jak dawniej, ot, nawet lepszy, bo oto nie gniewa się na nią, że wyszła za Franka.

— Stało się — rzekł jej — i już się nie odstanie, kocham cię całem sercem, lecz ty nie tęsknij do mnie. Wszystką swą miłość, swoją sympatję, którą żywisz jeszcze do mnie, przelej na Franka. Ja wszystko przebaczam ci...

I z miłości ku niej przyrzekł jej wyleczyć Franka z pijaństwa.

Franek istotnie, po rozważnej rozmowie z Władkiem, przestał pijać i stał się dobrym dla niej mężem. O jak się czuła teraz Zośka szczęśliwą — teraz, gdy mogła go kochać, i sama była kochaną... — Za wszystkie dawne cierpienia czuła się teraz błogo i bezgranicznie szczęśliwą.

Spała długo i mocno. Słońce już dawno zatonęło za borem, a wmiejsce jego na czarnym aksamicie nieba błyszczał okrągły, pełny, srebrzysty księżyc. Zośka leżała na wznak z rękami złożonemi na piersiach.

Bieluchną miłą jej twarzyczkę okalał lekki uśmiech. Uśmiech szczęścia, którego biedna zaznała tylko w śnie....

Błogi ten sen przerwał jej trzask otwieranych drzwi. To Franek, jej mąż, wracał pijany z karczmy. Z chrapliwem jakiemś przekleństwem wtłoczył się do izby.

Zośka gwałtownie otwarła oczy. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje.

— Wstań — wrzasnął Franek — tupiąc butami o ziemię.

— Wstań. Dlaczego mi nie otwierasz?

Zośka oprzytomniała.

— Przebacz, Franusiu, widzisz, żem chora, zaspałam sobie malutko.

— Co mnie to — psia krew — obchodzi. Co?

— Nie słyszałam, że idziesz, — mówi Zośka drżąco — taka słaba jestem.

— To zdychaj, i tak mi już nic po tobie!

Mówiąc to, zamierzył się stołkiem w stronę Zośki, zawadził jednak o lampę wiszącą u pułapu, która upadła stłuczona na ziemię. Kawałek szkła pokaleczył go trochę po twarzy. To go do reszty rozzłościło.

— Franku, uspokój się — błagała Zośka.

Franek jednak nie słuchał. Opętany jakimś wściekłym szałem pijackim, bił pięściami, skakał, tupał nogami, aż szyby dzwoniły.

— Świecić — krzyknął rozkazująco.

Zośka próbowała się podnieść, opadła jednak na poduszki.

— Idziesz, czy nie? — zaryczał.

— Franek, zmiłuj się. Widzisz, że nie mogę. Jak się ty Boga nie boisz. Tej Matki Boskiej.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się dziko. — Tej, com Jej dzisiaj złoto porwał? Kto, ja? Ja się mam bać? Czemuż mię rano za tę blachę nie zabiła? Do piorunów... Patrz — mówiąc to, chwycił leżący na stole nóż kuchenny i rzucił się do lśniącego złotem obrazu. Nie zdołał jednak wykonać zbrodniczego zamiaru, — potknąwszy się o stłuczoną na podłodze lampę, runął, jak długi, na ziemię, topiąc trzymany w ręce nóż wprost w sercu.

— Jezu! — wyszeptały zbielałe wargi Zośki.

Więcej nie widziała nic. Pękło jej serce... Na ziemi w pozycji nieco skulonej harczał Franek. Zrazu głośno, później coraz ciszej, coraz słabiej... Pod łóżko, leżącej bez życia Zośki, płynęła wolno od Franka brunatna stygnąca krew....

Miarowe tyk-tak zegara odbijało się głucho od ściany. Później i on stanął. W izbie zrobiła się niczem niezamącona, głucha, straszliwa cisza...

— — — — — — — — — — — —

A księżyc siał swe promienie przez okno, spokojnie, cicho, jak przedtem. *Franciszek Maciol.*

HEJ KOSIARZE!

(Rysunek J. Fałata).



Hej, wy bracia, wy kosiarze,
Nuż do pracy w dal!
Nim zadzwonią ranne straże,
Niechaj dzwoni stal.

Hej, już brzęczcie kosy krzywe
Pośród łąk i niw.
Nućcie piosnki rzewne, tkliwe
W czasie znojnych żniw.

Z tym skowronkiem hen, co kwili
Pod powłoką chmur,
Nućmy głośno, bracia mili,
Żeśmy świata mur.

A więc śmiało do roboty,
Niechaj kipi pot!
Gdy zwyciężym trudy, słoty,
U nieb staniem wrot.

Z przeszłości Biecza.

Jednem z miast, które w ciągu wieków odegrały ważną rolę i przyczyniły się do spotęgowania świetności naszej Ojczyzny, jest Biecz, miasto-gród, o historycznej, a może prahistorycznej przeszłości. Biecz, ongiś niejednokrotnie świadek chwil, pamiętnych w dziejach narodu polskiego, ten gród, który w czasie, gdy potop wojenny zalał ziemie Rzeczypospolitej Polskiej, nieustraszenie opierał się nawale najeźdźców, należy mimo wszystko do rzędu tych miast, wobec których mieszkańcy jego zachowują się z obojętnością, nie dbając o to, że w Bieczu znajdują się również wspaniałe zabytki przeszłości i dzieła sztuki, które z braku zrozumienia ich wartości dziejowej, drzemią w ciszy zapomnienia, pokryte pyłem wieków.

Królewskie miasto Biecz, należy do rzędu najdawniejszych miast w Polsce. Początkowe jego dzieje giną w pomroce wieków. Założycielem jego miał być według podania ludowego watażka zbójecki „Bicz", który za darowanie mu życia założył miasto Biecz ze swych ogromnych skarbów, nagromadzonych drogą rozbojów.

Już w czasach panowania Władysława Łokietka, bo od r. 1311 należał Biecz do dóbr stołu królewskiego. Kazimierz W. opasał miasto potężnym murem, którego resztki widnieją do dziś ponad torem kolejowym i rzeką Ropą, nadał miastu różne prawa i przywileje i uczynił go potężną warownią, wyposażając w dwa obronne zamki, jeden od południa na stromej górze, drugi od strony północnej, na miejscu dzisiejszego klasztoru OO. Reformatów, który przetrwał do r. 1630.

Świetność miasta zaczyna się w w. XV, od czasu, gdy przez Biecz skierowano główny gościniec z Węgier, miasto szybko wzrasta, bogaci się, prowadząc ożywiony handel, ściąga na swe jarmarki mnóstwo obcych kupców, kwitną rzemiosła i sztuka, oświata u mieszczan stoi wysoko, a ruch w mieście potęgują jeszcze częste zjazdy szlachty na sądy grodzkie i sejmiki powiatowe.

Ówczesny Biecz posiadał 39 kościołów, okazały murowany ratusz, bogate sklepy i piękne budynki, nadano mu też nazwę „Mały Kraków".

Miasto posiadało własną jurysdykcję. Tu karano śmiercią schwytanych opryszków, których ścinano toporem katowskim na klocu w podziemiach ratusza, a które to narzędzia kary przechowują do dzisiaj jako cenną pamiątkę. Istniała też w Bieczu w tym czasie szkoła katowska, która wyzwalała katów i dostarczała mistrzów w tem rzemiośle dla całej Polski. — Biecz, miasto rodzinne historyka Marcina Kromera,

ur. w r. 1512. Jego dom rodzinny, odnowiony w ostatniej dobie, utrzymany do dziś w dobrym stanie tuż obok kościoła farnego. Ogromną ozdobę miasta stanowi wspaniały kościół farny, zbudowany w r. 1326 w stylu gotyckim, z licznymi zabytkami z dziedziny historji i sztuki, tablicą pamiątkową Kromera i alabastrowym nagrobkiem starosty bieckiego M. Ligenzy. Na miejscu dawnego zamku stoi okazały klasztor OO. Reformatów, zbudowany w r. 1630.

Okropnego spustoszenia dokonali w Bieczu Kozacy i Siedmiogrodzianie pod dowództwem Rakoczego w r. 1657. W tym samym roku chłopi, podmówieni przez duchowieństwo, wszczynają bunt przeciw Szwedom i Arjanom, a zebrawszy oddział do 3 tysięcy ludzi liczący, rekrutujących się przeważnie z okolic Biecza, urządzają zbrojną wyprawę na Sącz, siekąc bez miłosierdzia Szwedów i wypędzają ich z Sącza, łupią i palą wsie arjańskie, mordując tych, którzy na wiarę katolicką przejść nie chcieli.

Miasto Biecz było starostwem grodowem. Należały doń miasto z zamkiem i wójtostwem oraz 27 wsi. Dobra starostwa bieckiego były w r. 1776 w posiadaniu Wilhelma Siemińskiego, starosty trzcinickiego, który kupił te dobra u rządu austrjackiego za cenę 205.400 złotych reńskich. Niegrodowe starostwo trzcinickie mieściło się w powiecie bieckim i według spisów podskarbińskich z r. 1770 liczyło 5 wsi. Również i niegrodowe starostwo siemiechowskie, które naówczas posiadał Ignacy Krasiński, należało do bieckiego powiatu.

W w. XVIII. miasto podupada wskutek morowej zarazy i częstych pożarów. Biecz dzisiejszy, odrestaurowany, może pod względem położenia stanąć śmiało do współzawodnictwa z wielu miastami, które swą oryginalnością i pięknem położeniem zdobyły sobie sławę. Położenie pagórkowate nad rzeką Ropą, okolone wieńcem pobliskich wzgórz, przedstawia się malowniczo. Jako miasto nowożytne przedstawia się Biecz w okresie rozwoju i wzrostu, jako miasto, które choć przed blisko 8 wiekami powstało i ma swą piękną przeszłość, żyje pod hasłem doby dzisiejszej i postępu.

Piotr Wenc.



MACIEK BZDURA GADA:

Niewiasty wszelakiego rodzaju od na wieki wieków amen powiadają, że są przez chłopów bardzo przyciśnione i bronią się rękami i nogami, aby tak nie było i ciągiem wołają o równouprawnienie. A temcasem cyz istnieje bardziej upośledzona i niescęśliwa istota, jak menszczyzna w porze letniej? Panny i niepanny, dziewice i niedziewice, zeniate i niezeniate, a nawet babki od dwudziestu lat paradują sobie w letkich i powiewnych obłockach, przez które do wnątrza dostaje się rzeźwiący chłód powietrza, a ze środka uchodzi to wszyćko, co się rozgrzeje i zaśmierdzi. — A tymcasem ten pan i król wszyćkiego stworzenia, za jakiego uważają kuździego śturkaca, musi sie smażyć w zgrzebnych portasach, a jak do tego nie był nigdy prezedentem ministrów, to mu i bez krawatki nie uchodzi chodzić po świecie.

Niewiasta przywdzieje se krótką kieckę, powyżej kolan, z pod której jej wszyćko wyłazi, jakby tak który z nas posed do starostwa w portcętach powyżej kolan, to już nie sam starosta, ale jego pisarz za drzwiby go wyrzucił. Niechby se tak który z nas ubrał kosule bez rękawów i bluzkę bez rękawów i posedł do kościoła, toby go jegomość na amen skunierowali, zeby potem nie miał co w parafji robić. Niechby tak który z nas wywalił na świat kudłate piersiska i świcił niemi po całej wsi, toby go ze wsi cemduchu psami wysculi! A niechby tak który z chłopów popróbował sobie posypać gębę piaskiem, to coby było gadania po całym świecie!

I jesce śmią baby narzygać, ze są przyciśnięte, kiedy bez cały dzień Boży nikt i nic ich na świecie nie przyciska. Ale powiadają: Pozwól kurze grzędy, a ona zechce wszędy! Ja wiem, że jem zawadza i ta odrobinka przyodziwy na ich grzysnych cielskach, i jakby jem ino pozwolić, toby i to ze siebie zrzuciły, a jako ze u nas liści figowych niema, toby i bez listecków na niktórych częściach ciała chodziły.

A lacego się tak dzieje? Oto latego, ze chłop zacharowany nie myśli o strojach, ale robocie. Niewiasta natomiast, próżnująca niemal cały dzień, mozoli nad tem ino swoją łepetę, gdzieby jesce coś uciąć, gdzieby co podkasać, aby jak najwięcej swojego cielska całemu światu na wystawę pokazać.

Ale to sie skońcyć musi! I jak walcyły niewiasty o swe równouprawnienie bez tyle lata, tak my musimy teraz walcyć la siebie o równouprawnienie z babami. I latego od dzisiaj zakładam towarzystwo chłopskie walki o równouprawnienie z babami. Zaden z członków tego towarzystwa nie śmie nosić na karku krawatki, która go upodabnia do wisielca oderwanego od siubienicy. Wszelkie kołnierzyki są zabronione pod karą wyklucenia z towarzystwa. Kuźden z członków musi nosić dekolt od syji az po pępek taki, jaki nosą niewiasty. U wszelkiego ubrania rękawy musą zniknąć raz na zawse i więcej sie na świecie nie pokazać. Portcęta nie mogą mieć więcej długości, jak dziesięć centymetrów, buciarów nie wolno zadnemu członkowi uzywać, a ino lekkie pantofelki. Słowem wszyćko to, cego nie posiada niewiasta, musi się poobcinać i na gnój wyrzucić, a zostawić ino takie drobiazgi, jakie mają baby. A gdy się do tego doprowadzi, to bedziewa widzieć, kto na tem gorzej wyjdzie: my, cy baby?

Zakładam więc takie towarzystwo chłopskie i kto sie chce do niego zapisać, to niech natychmiast przysyła dziesięć złotych wpisowego, a reśta to furda, bo przecie wiadomo, ze u nas działalność większości towarzystw końcy się na zapłaceniu wpisowego i wybraniu prezesa towarzystwa. Powiadam więc, że kto chce do takiego mojego towarzystwa należeć, to niech przysyła wpisowe, a o prezesa niech sie turbuje, bo juz ja sam siebie na prezesa wybierę.

Podróż po dalekich krajach.

Turcja II.



Wnętrze meczetu św. Zofji.

W poprzednim numerze »Roli« podaliśmy widok meczetu świętej Zofji w Konstantynopolu i zaznaczyliśmy, że meczet ten został utworzony z kościoła katolickiego pod wezwaniem św. Zofji, kiedy Turcy zajęli to miasto. Wewnątrz, jak to widać na naszym obrazku, meczet ten niemal niczem się nie różni od naszych kościołów, chociaż religja mahometańska znacznie odbiega od katolickiej.

Religję mahometańską utworzył Mahomet, kupiec, który dużo podróżował po świecie i dużo widział i poznał w swych podróżach. Jako poganin, ale człowiek bardzo światły, rozumiał on dobrze, że religja pogańska nie może być prawdziwą, choćby z tego powodu, że niemal jest rzeczą nie do pomyślenia, aby mogło być więcej bogów, aniżeli jeden. W podróżach swych Mahomet poznał zasady religji chrześcijańskiej, jak również i żydowskiej. Wyznawcy tych religji czcili jednego Boga i to spodobało się Mahometowi, nie przestudjował jednak do głębi ani jednej, ani drugiej religji, nie mógł więc wiedzieć, która z nich jest rzeczywiście prawdziwą. Poznawszy je tylko pobieżnie, widział w nich wiele rzeczy dobrych, ale i wiele takich, które mu się nie podobały. Postanowił więc utworzyć religję nową, zdaniem jego lepszą. Zatrzymał niektóre zasady z religji chrześcijańskiej, niektóre z żydowskiej, pododawał coś niecoś do tego i była nowa religja. Trzeba było tylko pozyskać dla niej jak najwięcej zwolenników. Tu wyzyskał przedewszystkiem dwie rzeczy: po pierwsze obawę ludzi przed karą za złe uczynki. Ażeby więc oddalić odpowiedzialność za czyny ludzkie, ogłosił wiarę w przeznaczenie, czyli że człowiek nic nie działa bez woli bożej, a więc wszystko, co robi, robić musi, bo tak mu było już zgóry przeznaczone. Jeżeli więc nie czyni nic w myśl swej własnej woli, więc też i za swe uczynki nie może być odpowiedzialny. Powtóre znał Mahomet pociąg mężczyzn ku kobietom, znał ich słabość pod tym względem i wiedział, że zjedna ich wielu dla swej nowej wiary, jeżeli dozwoli swym zwolennikom na pojmowanie kilku żon. I nie zawiódł się! Choćby z tego jednego powodu wielu przyjmowało nową religję, a że przewaga w świecie kobiet była zawsze, więc i kobiety były zadowolone, bo nietylko nie było starych panien, ale nawet niewiast zaczęło u mahometan brakować. Czynili więc wyprawy zbrojne na sąsiednie kraje, uprowadzali stamtąd dziewczęta i pojmowali za żony. Ludność się powiększała, bo wskutek tego wyznawcy nowej religji zamiast mieć najwyżej jedno dziecko co roku, mogli ich mieć rocznie kilka i kilkanaście.

Aby nie zrażać do nowej wiary ani chrześcijan, ani żydów, Mahomet głosił, że jest jeden Bóg, a największym prorokiem jest on, Mahomet, a Pan Jezus i Mojżesz to byli, według jego nauki, także prorocy, tylko nieco mniejsi od niego. Mimo to wiedział jednak, że bez walk na tle religijnem się nie obejdzie, to też w swych naukach głosił, że kto w walkach z „niewiernemi“ zginie, to choćby był największym zbrodniarzem, pójdzie natychmiast do siódmego nieba, pełnego najpiękniejszych dziewcząt. I dlatego właśnie wyznawcy Mahometa byli w bojach tak nieustraszeni, gdyż każdy z nich pragnął polec na polu walki, aby jak najrychlej znaleść się w tem siódmem niebie. Wobec tego, to jest szybkiego przyrostu ludzi i zaciekłości w bojach powiększała się tak liczba wyznawców nowej religji, jak i obszary ziemi, które oni pod swe panowanie zagarnywali.

Dziś wiara w „siódme“ niebo nieco zmalała, a z postępem cywilizacji wielożeństwo coraz bardziej maleje, więc też i potęgą mahometan podupada. Do zmniejszenia się wielożeństwa przyczyniają się dużo same kobiety. Dawniej uznawano je za istoty bez duszy, stworzone tylko dla wygody mężczyzny, więc się z nimi nie liczono, bo i one same, zdaje się, w to wierzyły. Gdy jednak cywilizacja przedarła się i do ich umysłów, poczuły się równe mężczyznom i coraz częściej stawiają swe veto, każąc się uważać za istoty równe swym władcom. Obecnie coraz mniej jest u mahometan wielożeństw, a w niejednym wypadku nie mąż, ale żona jest panem domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

Juljusz drgnął mimowolnie.

— Więc nie mylę się, ktoś tu jest koniecznie — mruknął i przywiązał konia swego do żłobu, a sam przez szczeliny w ścianie próbował zajrzeć do środka stodoły. Wszakże wszędzie wyglądały tylko zasieki zboża, a tok do młócenia stał pusty i próżny.

Dopiero po dłuższem, usilnem rozglądaniu się dopatrzył naprowadzony rżeniem konia, że w najciemniejszym kącie stajni odchylała się ściana od stodoły i prowadziła w ciasną kryjówkę, założoną dokoła snopami i okłotami.

Juljusz uchylił zlekka ukryte drzwi i wydał okrzyk zdziwienia.

Ujrzał przed sobą mały wózek z czarnem, słomianem nakryciem i tego małego, srokatego konia, którym tajemniczy maziarz uciekał z dominjum, spotykając się w drodze z nim samym.

— A więc on jest tutaj znowu! — mruknął Juljusz.

Pierwsze domysły sprawdzały się zupełnie.

Światło w narożnych oknach dworu znamionowało tylko nowy powrót tajemniczego gościa.

Im pilniej zaś rozmyślał nad ogólnym składem rzeczy, tem dziwniejszem wydawało mu się całe postępowanie zagadkowego maziarza. Domyślał się już z niezbitą pewnością, że człowiek ten był to tylko w innem przebraniu ten sam zręczny kwestarz-emisarjusz, co przybywszy podczas choroby starościca do Żwirowa, potrafił w nim w krótkim czasie tak gorliwego i zapamiętałego zjednać sobie zwolennika i niejako jednym zamachem zmienił cały charakter i całą istotę moralną człowieka, którego wszyscy mieli za półgłówka, dziwaka i nieomal warjata.

Nie zapuszczając się w żadne dalsze domysły, postanowił Juljusz dotrzeć dziś koniecznie do dna tajemnicy i nie opuścić pierwej odludnej zagrody, pokąd otwarcie i stanowczo nie rozmówi się z maziarzem.

Przekonawszy się, że niema jego samego w ukryciu przy wózku i koniu w stodole, chciał udać się do wnętrza chaty i nie ruszyć stamtąd, aż pokąd zamierzonego nie dopnie celu.

Juljusz przystąpił ku drzwiom, ale na niespodziewaną natrafił zaporę. Drzwi nie zdawały się zamknięte, a żadną miarą niepodobna było ich otworzyć, jakby je z tyłu jakieś silne podpierały barki.

Namozoliwszy się napróżno czas niejakiś, zaniechał utrudzony dalszej próby i postanowił spokojnie czekać na dziedzińcu, aż pokąd jaka żywa dusza się nie pojawi.

Kilka chwil przechadzał się w milczeniu tam i nazad po dość ciasnej oborze, a wtem spostrzegł, że do przyległego ogrodu hrabiowskiego prowadziła stąd wygodna furtka, która w tej chwili była nawet na pół odchylona.

Od furtki prowadziła wśród krzewów agrestu i porzeczek wązka ścieżka ku cienistej ulicy kasztanowej.

Wglądając we wszystko uważnie, spostrzegł Juljusz, że ścieżka ta acz widocznie podeptana, zdawała się być bardzo mało uczęszczana i zaledwie tylko tu i ówdzie mniej bujny zarost trawy świadczył, że czasami ludzka przesuwała się po niej stopa.

Juljusz nie szedł ku dworowi, ale skręcił wprost w głąb ogrodu.

Przypomniał sobie, że według opowiadania dawnych sług dworskich, rozlewał się w zatyle ogrodu szeroki staw z małą wysepką w pośrodku, na której nieboszczyk starościc najchętniej swe tajne z kwestarzem odbywał rozprawy.

Juljusz spieszył w tę stronę. Niebawem natrafił na szerszą cokolwiek ulicę, a postępując wprost za jej kierunkiem, ujrzał zdala gęste zarośla trzciny i szuwaru, które w ciągu pięcioletniego opuszczenia ogrodu okryły bujnie tak troskliwie utrzymywane niegdyś brzegi i tylko wierzchołki drzew pozwalały widzieć z położonej w środku wysepki.

— Pojadę do wysepki! — zawołał sam do siebie.

I przystępując bliżej do łódek, przymocowanych na łańcuszkach do wielkiego żelaznego pala, wybierał oczyma, która z nich najlepiej nadałaby się do podróży.

Nagle wstrząsł się z lekka i pilnie nadstawił uszu. Wśród głuchej ciszy, przerywanej tylko świergotem ptasząt po drzewach, odezwał się lekki plusk wody, jakby uderzenie wioseł w oddali.

Juljusz cofnął się szybko w głąb za zarośle trzciny, wytężając ucho i wzrok ku stronie, skąd pierwszy doleciał go szmer.

Tymczasem plusk wioseł zbliżał się coraz więcej.

— Pójdę i będę go oczekiwał na zakręcie ulicy — poszepnął naraz stanowczo.

I już chciał wzdłuż zarośli trzciny popędzić w głąb ogrodu, kiedy znowu nagle przystanął nieruchomy.

— Zapóźno... — mruknął.

Rzeczywiście łódka musiała już być bardzo blisko, bo coraz wyraźniejsze rysowały się już kręgi na wodzie, a fale coraz wyżej występowały na kamienne wybrzeże.

W tej chwili drgnął znowu. Zdawało mu się wyraźnie, że coś zaszeleściało za jego plecyma w pobliskich zaroślach agrestu. Obrócił się, a tuż jakiś cień mignął mu przed oczyma, jakby jakaś postać ludzka, zniknęła nagle w dziko wybujałych krzakach. W tejże samej chwili oczekiwana łódka przybiła do brzegu.

Juljusz szybko wystąpił ze swego ukrycia, a nagle stając jak wryty na miejscu, głośny wydał okrzyk, na który jakby echo odezwał się jakiś inny głos w poblizkich krzakach agrestu.

Z przypartej do brzegu łódki wyskoczyła drobną nóżką młoda dziewczyna w lekkiej, różowej sukni, obciśniętej u góry białym, pikowym kaftanikiem. — Główkę osłaniał okrągły kapelusik tyrolski z błękitną dokoła wstążką. W ręku wisiał zgrabny, słomkowy koszyczek, który niezupełnie zamknięty, pozwalał obok robótek kobiecych widzieć jakąś oprawną książkę.

Na nagły, niespodziewany wykrzyk Juljusza, drgnęła młoda dziewczyna przestraszona, a szybko podnosząc głowę, powiodła dokoła niebieskiemi jak kwiat bławatu oczyma.

— Eugenja! — wykrzyknął Juljusz znowu.

Na twarz dziewczyny wystąpił silny rumieniec, drżąca, zakłopotana, zmieszana stała nieruchoma na miejscu i sama nie wiedziała, jak sobie postąpić.

W pierwszej chwili chciała napowrót wskoczyć do łódki, ale zawahała się nagle i pozostała na miejscu.

Juljusz postąpił naprzód.

— Pani — wybąknął niemniej może trwożliwy i pomieszany jak ona sama.

— Panie!... — odszepnęła dziewczyna prawie mechanicznie.

Juljusz mimowolnie cofnął się w tył.



Z łódki wyskoczyła młoda dziewczyna.

Głos ten wydał mu się zupełnie obcym.

Wypatrzył się zachwiany na nieznajomą, ale z pod szerokich kres kapelusza nie mógł bynajmniej dojrzeć jej rysów.

Tylko po jednej stronie jakby umyślnie rozwiązany spadał na szyję bujny pukiel włosów jasnych jak len, miękkich i lśniących jak jedwab.

— Ona!.... — poszepnął Juljusz na to spostrzeżenie.

I utwierdzony na nowo, postąpił naprzód.

— Przebacz Pani — rzekł, zacinając się cokolwiek — szukałem cię tu...

Dziewczyna z gestem zdziwienia cofnęła się w tył.

Juljusz zawahał się na chwilkę, ale nagle postępując o krok dalej, odezwał się już o wiele poważniejszym głosem:

— Przepraszam panią, szukałem właściwie kogo innego, szukałem maziarza...

— Ah! — szepnęła dziewczyna i drgnęła z lekka.

— Pani nie chciałaś słuchać przestróg — ciągnął Juljusz dalej.

— Ja? — przerwała i głowę podniosła w górę.

Juljusz odskoczył z głośnym wykrzykiem... Przed nim nie stała Eugenja.

Łudzące podobieństwo nieznajomej dziewczyny z hrabianką, polegało głównie na spólnej obydwom śnieżnej białości cerze i jednakiej barwie oczu i włosów. Do tego przyłączyło się jeszcze jakieś dziwne pokrewieństwo rysów twarzy.

Piękna była równie jedna jak druga, wszakże przy bliższem rozpatrzeniu, wybitna i co do piękności zachodziła różnica.

Juljusz w swem zdziwieniu, pomieszaniu i zakłopotaniu stał na miejscu jak wryty, a w głowie jego jedna tylko wirowała myśl.

— To nie Eugenja!

Widząc szczególniejszy stan Juljusza, nieznajoma otrząsła się powoli ze swego pierwszego popłochu i zamieszania.

— Pan się pomyliłeś? — rzekła dziewczyna, jakby mu chciała przyjść w pomoc.

— W samej rzeczy... to niesłychane podobieństwo! — zająknął się, a zachwycone w twarz dziewczyny utkwił spojrzenie.

Nieznajoma żywym na nowo oblekła się rumieńcem, a oczy zwolna spuściła na dół.

— Któż, pani jesteś? — wykrzyknął Juljusz błagalnym głosem.

— Ależ panie! — wyszeptała dziewczyna.

Młodzieniec opamiętał się po chwili. Posunął ręką po czole i odezwał się spokojniej:

— Przepraszam panią... postępowanie moje wydaje ci się dziwnem... ale racz mnie tylko wysłuchać.

Dziewczyna obejrzała się niespokojnie i krzyknęła nagle.

Juljusz obrócił się prędko.

O kilka kroków zbliżał się boczną ulicą Kost' Bulij, groźny i surowy jak duch złowrogi.

— Uchodź pan! — zawołała dziewczyna i w zapomnieniu pochwyciła go za rękę, jakby do tem większego nagląc pośpiechu.

Krótko tylko chwilkę trwało to przypadkowe dotknięcie ręki, a wszystka krew silniej zawrzała w Juljuszu, a i dziewczyna zadrżała cała od stóp do głowy.

Kost' Bulij zatrzymał się o dwa kroki przed nim.

A strasznym był w tej chwili stary Kozak. Oczy błyskały złowrogo z pod gęstych, krzaczastych brwi, zaciśnięte usta drgały konwulsyjnie, a cała olbrzymia postać wyprężyła się gniewnie i groźnie.

Młoda dziewczyna wydała nowy okrzyk trwogi.

Kost' zrobił jakieś gwałtowne wysilenie, jakby się pragnął uspokoić.

— Niech panna wróci do altany... — odezwał się, łagodząc głos ile możności.

I podniósłszy z ziemi opuszczone wiosło, postąpił ku brzegowi i ręką przytrzymywał czółno.

Dziewczyna zwinnie wskoczyła w łódkę, a biorąc wiosło z rąk starego Kozaka, nachyliła się szybko do jego ucha i jakieś krótkie, urywane poszepnęła mu słówko.

Kost' wzruszył ramionami.

Nieznajoma ochoczo plusnęła wiosłem, łódka szybko odbiła od brzegu i skręciła poza zarośla szuwaru.

Juljusz niemy i nieruchomy stał na brzegu, pożerając w zachwycie każde poruszenie dziewczyny. Nieznajoma obróciła się ku niemu i skinąwszy z lekka ręką i głową na znak pożegnania, dłuższe utkwiła weń spojrzenie.

Nie troszcząc się wcale o obecność starego Kozaka, nie odwrócił oczu młodzieniec, póki łódka i jej czarodziejska sterniczka zupełnie nie znikły z oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lipcowa noc.

Na czarnym nieba aksamicie
Gwiazd tryljony srebrem płonie,
Znacząc moc Boga we Wszechbycie,
Który stworzyły Jego dłonie...

Płynie nad światem nocka cicha,
Roniąc z swych skrzydeł krople rosy,
Do której każdy kwiatek wzdycha
I czekające na sierp kłosy. —

Bo kiedy dzionek wstanie hoży,
Zadzwoni piosnka przodownicy,
Zabrzęknie stalą ludek boży,
Wśród łanów żyta i pszenicy.

Robert Rydz.

Nauczył się kraść.

(Humoreska)

— Hej! Co ty robisz? — mówił pan dworu do osiemnastoletniego wychowańca dworskiego, Klimka. Widział, jak on położył sukmanę na płocie i udawał, że ją kradnie, a potem znów ją kładł na płocie i znowu porywał.

— Panie, ja się uczę kraść — odrzekł Klimek.

— Ha, ha, ha, — zaśmiał się pan — a po chwili rzekł: będziemy widzieć, jakiś ty złodziej. A jeżeliś złodziej, to mi ukradnij te konie, któremi orzę.

— Dobrze panie — odrzekł Klimek.

— Masz mi je przyprowadzić na podwórze, ale dziś jeszcze.

— Dobrze panie — powtórzył Klimek.

— Dostaniesz za to nagrodę.

Parobcy orzą pole spokojnie, tylko czasem pokrzykują na konie. W tem słyszą beczenie kozy, która się tak darła, że aż po krzakach się rozlegało. — W tem słyszą lament jakiegoś człowieka.

— Ratujcie! Ratujcie! — krzyczy jakiś pastuch — wilk mi bierze kozę.

Pobiegli parobcy wszyscy do krzaków, skąd dochodziło beczenie kozy i lament pastucha. Ale cóż zobaczyli? Koza wisiała za tylne nogi na świerku i tak się darła, że aż uszy bolały. Byli bardzo zdziwieni tą przygodą i myślą, co to może być? Gdzie ten, co wołał o ratunek?

Chodźmy, chodźmy orać — rzecze jeden parobek — co tu będziemy myśleć.

Idą do koni, aż tu koni niema.

— Jezus! — wyrwało się z ust parobków, — konie nam uciekły.

— Panie, panie, bo konie już są, — zawołał Klimek.

— A toś już bity złodziej — rzekł pan.

— Ukradłem tak, że nikt nie wiedział.

— Ho, ho, ho, sprytny z ciebie złodziej, — mówił pan, — a jak się dowiedział od parobków, co przybyli po konie, śmiał się z nich, że tak się dali wywieść w pole przez Klimka.

— Wiesz co Klimek?

— A cóż takiego? — spytał.

— Widzę, żeś jest już sprytny złodziej, to mi ukradnij ze stajni konie, ale tej nocy.

— Parobki, — mówi pan do nich, — macie dobrze pilnować koni, bo tej nocy ma być na konie złodziej. Całą noc macie nie spać.

Parobki z wieczora nie spali, ale po północy nie mogli wytrzymać i doczekać się złodzieja, więc zasnęli snem twardym, ale każdy trzymał za ogon koński i spał.

Na to czekał Klimek, a że każdy trzymał koński ogon, więc dał im po garści konopi do ręki i konie wyprowadził ze stajni. Parobki spali nieporuszeni, tylko harczeli aż się rozlegało.

Klimek zaprowadził konie przed okno, gdzie spał pan i zapukał do okna.

— Panie, panie, bo konie są:

— Co, ukradłeś już? — spytał pan.

Ukradłem, ci spali, nie wiedzieli nic.

— Ha, muszę zobaczyć, jakeś ukradł.

Wziął latarnię, zaświecił i poszedł do stajni zobaczyć. Gdy tylko zobaczył parobków, zaczął się głośno śmiać, bo i było z czego. Parobcy leżeli na gnoju, a każdy trzymał w garści konopie, bo myśleli, że to koński ogon.

Więc się ich spytał pan:

— Gdzie są konie?

Parobcy zbudzeni ze snu, nie umieli na to odpowiedzieć.

— Są, są konie, aleście źle pilnowali, chciałem się przekonać, czy dobrze pilnujecie, ale widzę, że źle

Po chwili rzekł pan do Klimka:

— Dwa razy oszukałeś parobków, ale mnie to nie.

— A cóż takiego? — spytał.

— Masz ukraść mej żonie sygnet z palca. Rozumiesz?

— Rozumiem, ale kiedy?

— Do tygodnia, Klimku.

— Dobrze panie, będę próbował.

Klimek długo nie myślał, wziął się zaraz do pracy. Zrobił ze słomy chłopa, ubrał go w odzież. Bałwan wyglądał, jak prawdziwy człowiek.

W drugą noc koło północy zaniósł owego bałwana przed pańskie okno, postawił go tak, żeby pan widział, a sam począł go ruszać i pukać, niby że to ten chłop ubrany.

W pokoju, gdzie spali snem twardym pan i jego żona, nagle ich zbudziło stukanie do okna. Zerwał się pan z łóżka, pobiegł ku oknu, aby zobaczyć, co się tam dzieje. Nagle odskoczył przerażony, złapał za wiszącą na ścianie strzelbę, wycelował do chłopa i wypalił. Słyszał, jak chłop się przewrócił i jego jęki. — Wyjrzał przez rozbite okno, nagle krzyknął i załamał ręce:

— Jezus, Marja, co ja zrobił? Zabiłem kogoś.

Tu przypomniał sobie Klimka.

— Boże, cóż ja zrobiłem? Klimka zabiłem. Com ja zrobił, com ja zrobił — i rozpłakał się.

Pobiegł do najwierniejszego sługi, aby mu się pożalić, co zrobił i aby ten pomógł mu trupa odnieść gdzieś, żeby się ludzie nie dowiedzieli, że jest mordercą, bo dopieroby miał wstyd, gdyby w areszcie siedział.

Na to czekał Klimek. Za chwilę wlazł do pokoju, gdzie spala żona pana, odmieniając mowę, a mówił tak, jak jej mąż, i rzekł do niej:

— Wiesz, kto to był? To Klimkowa sprawka, on myślał, że mnie wywiedzie w pole i sygnet ci ukradnie, ale mu się to nie udało. Wszak masz sygnet na palcu?

— Mam go tu — odrzekła pani i podała sygnet Klimkowi, którego wskutek ciemności nie poznała.

On wziął od niej sygnet i mówił:

— Ja go zatrzymam na tę noc. Pójdę zobaczyć, co to za hałas za oknem — i wyszedł.

Wkrótce przyszedł do pokoju prawdziwy jej mąż i mówi jej:

— A to hultaj z Klimka, co ja strapienia miałem przez niego, to niech djabli wezmą. On na sygnet czyhał, ale mu się to nie udało. Bo co ja, to nie parobcy.

— Co ty mówisz mężu, przecież byłeś tu przed chwilą!

— Co ty gadasz?

— Byłeś przódzi i sygnet mi wziąłeś.

—A ten zbój jeden, to on tu już był i zrobił, co swoje!

Rano przyniósł skradziony sygnet Klimek ucieszony, że dostanie nagrodę od pana.

I myślicie, że nie dostał?

Pan, choć mu i zmartwienia zrobił trochę, wynagrodził go dobrze. Dał mu sześć mórg pola, postawił piękne budynki i obdarzył do tego jeszcze piękną krową.

Klimek teraz był ucieszony tym zarobkiem, bo i dobrze zarobił. Nie czekał długo na ożenienie, bardzo piękną wybrał sobie dziewczynę, która mu się podobała, bo i była najładniejsza we wiosce. Wnet miał dużo takich małych Klimków, bo się dorobił ich. — Żył długo i możeby był żył, gdyby nie umarł. Szkoda go, ale cóż robić, taki to los spadł na niego i więcej się nie wróci. *Stanisław Cebula.*



Poradnik lekarski.

Wskazówki dla cierpiących na serce.

Rady, które poniżej podajemy, są przeznaczone wyłącznie dla ludzi, którzy istotnie cierpią na serce, u których lekarz stwierdził jaki błąd serca, chorobę mięśnia sercowego i t. p., nie zaś dla tych, którym się zdaje, że serce ich nie jest w porządku, ponieważ nie mogą dostać tchu przy szybkiem podchodzeniu po schodach, tędy i owędy odczuwają jakieś żganie w okolicy serca, dostają bicia serca z nieznacznego powodu. Kto rzeczywiście choruje na serce, a kto nie, może jedynie lekarz osądzić, bo do tego nie wystarcza odczuwanie pewnych dolegliwości, które pozornie objawiają się w okolicy serca, tylko wiedza i doświadczenie, a temi rozporządzają lekarze.

Kto choruje na serce, winien sobie przedewszystkiem rozdzielić swą pracę, równomiernie na cały dzień, a nie ścieśniać jej na godziny. Wszelka praca przyspieszona oddziaływa szkodliwie na serce, podczas gdy praca równa, bez nadmiernego wytężenia, wywiera tylko dodatni wpływ na stan serca. O ile można, chory powinien po jedzeniu spoczywać jaką godzinę. Praca wedle sposobu angielskiego, to jest bez przerwy obiadowej, jest szkodliwa u ludzi cierpiących na serce.

Wieczór winien być poświęcony całkowicie odpoczynkowi i rychło należy się do snu udawać, bo przez leżenie wygodne w łóżku serce wypoczywa. Sen jest konieczny i dlatego w danym razie trzeba sobie pomagać z początku środkami domowemi, jako to walerjanem (Baldrian), wodą słodzoną, wilgotnemi okładami na nogi i t. p. Bromu i innych środków nasennych powinien chory używać tylko za poradą lekarską. Unikać za to winien jątrzących, rozdrażniających rozmów, grywania w karty, czytywania powieści i opisów, podniecających, bo te rzeczy wpływają ujemnie na spoczynek nocny, — wogóle chory na serce powinien życie swe urządzić tak, aby miał spokój i możliwą wygodę. Rano spokojnie udawać się do pracy, a nie spieszyć się na łeb na szyję, nie lecieć za tramwajem, autobusem i pociągiem kolejowym, nie biec spiesznie po schodach i spożywać spokojnie śniadanie. Czy wolno mu się przy ubieraniu schylać, musi lekarz orzec, w przeciwnym razie muszą mu członkowie rodziny pomagać przy wdziewaniu pończoch i obuwia, sznurowaniu trzewików i t. p. Skoro chory już przy wstawaniu z łóżka i ubieraniu się traci oddech, natenczas winien się znowu kłaść do łóżka i przywołać lekarza.

Każde przeziębienie się, każde zapalenie płuc może stać się dlań niebezpiecznem, jeśli zaniedba leczenie. Lekarz winien rozstrzygać w takim razie, czy chory na serce może w dalszym ciągu wykonywać pracę zawodową, czy też leżeć w łóżku. Niedziela winna jeszcze więcej niż dla zdrowego być dla niego dniem spokoju, a najlepiej niech ją spędzi na leżaku, na wolnem powietrzu, na balkonie, o ile jest pogoda, a w łóżku, jeżeli jest niepogoda.

Ubranie winno być przedewszystkiem ciepłe, ale przytem lekkie, aby chorego chroniło, a nie ciężyło mu — winno być przytem oczywiście zastosowane do pory roku, aby się chory nie zaziębił.

Pielęgnowanie skóry hartuje chorego i wzmacnia działalność serca. Co tydzień jedna lub dwie kąpiele o ciepłocie 33 stopni (Celsiusza) mogą mieć tylko dobre skutki, wanna nie powinna jednakże być za pełna, aby chory nie dostał duszności. Kąpieli leczniczych choremu wolno używać tylko za zezwoleniem lekarza. Dobre jest także zmywanie całego ciała alkoholem i zmywanie poszczególnych jego części, poczem chory musi się niezwłocznie dla rozgrzania udać do łóżka.

Jeżeli chory jest bardzo słaby, trzeba miednicę przystawić blisko łóżka, nasamprzód zmyć mu ramiona i piersi, szybko otrzeć i osuszyć i kazać mu się znowu ułożyć w łóżku, aż się zagrzeje. Na końcu zmywa się nogi i stopy, poczem chory znowu wsuwa się pod pierzynę czy kołdrę.

Alkoholu, kawy, herbaty i napojów, zawierających kwas węglowy, wolno choremu używać tylko za zezwoleniem lekarza. Niechaj się jednak wystrzega jeść i pić przy uroczystych obchodach więcej, niż mu zwykle wolno. Co u zdrowego może mieć znośne jeszcze skutki, z przepicia się i z przejedzenia, może u chorego na serce wywołać groźne bardzo następstwa. — Nieraz już niezastosowanie się do tej wskazówki kończyło się śmiercią odnośnych lekkomyślnych chorych.

Lekarstw niech chory używa tylko za przepisem lekarza i tylko w przepisanych ilościach, a nie więcej; u lekarza powinien się też koniecznie stawiać w określonym czasie do ponownego zbadania stanu zdrowia. Zatwardzenie należy usuwać środkami, jakie lekarz uzna za dopuszczalne, nigdy zaś nie natężać się przy wydzielaniu stolca. W razie nagłego zasłabnięcia serca i duszności trzeba natychmiast posłać po lekarza, którego należy poprosić też o pouczenie, co czynić trzeba w takich razach, zanim lekarz nadejdzie. Boleści i kurcze sercowe uśmierzają gorące okłady w okolicy serca, bicie serca zimne okłady, krople walerjanowe, krople anodynowe. W każdym razie trzeba dobrze wiedzieć, czego się chwycić w razach nagłej potrzeby, aby zamiast choremu ulżyć i pomóc, nie zaszkodzić raczej dorywczem stosowaniem środków nieodpowiednich.

Ziemio!...



Kocham ciebie, ziemio czarna,
Kocham złote łany zbóż,
Twoich plonów chlebne ziarna,
Kolce głogów, kwiecie róż!

Bo ty jesteś karmicielką
Miljonowych ludu mas,
Tych, co były — i co przyjdą,
Aby w pracy zmienić nas.

Ty nagradzasz hojnie trudy,
Tych, co pracą święcą dzień;
Tym odmawiasz swoich darów,
Na kim tkwi lenistwa cień.

Rom-Ort z Wilkołaza.

KRONIKA.

Krwawa tragedja miłosna pod Lwowem. Policja lwowska została zaalarmowana wiadomością, że w lesie Pihorskim pod Lwowem przechodnie znaleźli trupa nieznanego mężczyzny, oraz ciężko ranną kobietę. Wdrożone dochodzenia wykazały, że ma się tu do czynienia z morderstwem i samobójstwem. Okazało się mianowicie, że mężczyzną jest kowal kolejowy Józef Pankiewicz, zaś ciężko ranną kobietą Rozalja Szpałówna, 19-letnia córka palacza kolejowego we Lwowie. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, chodzi tu o tragedję, wskutek niemożliwości zawarcia małżeństwa. Podobno rodzice Szpałówny nie chcieli się zgodzić na jej zamążpójście za Pankiewicza, wobec czego oboje postanowili umrzeć wspólną śmiercią. Pankiewicz oddał do Szpałówny dwa strzały w pierś, zaś następnie dwoma kulami z rewolweru pozbawił się życia. Szpałównę w stanie ciężkim przewieziono do szpitala. Dalsze dochodzenia w toku.

Skradziony rękopis powieści. Znanej literatce, autorce „Dzikuski" p. Irenie Zarzyckiej, zamieszkałej w Warszawie, skradziono onegdaj w tramwaju teczkę skórzaną, zawierającą rękopis jej nowej powieści p. t. „Tabor". Po powrocie do domu p. Zarzycka natychmiast zawiadomiła o kradzieży policję. Wieczorem p. Zarzycka otrzymała przez posłańca list treści następującej: „Szanowna Pani! Proszę sobie wyobrazić rzecz dziwną, kiedy znalazłem teczkę z taką powieścią, przestałem nawet kraść po tramwajach. siedzę w domu, czytam i będę czytał do końca — skończę jutro przed wieczorem, a ponieważ nie chciałbym Szanownej Pani skrzywdzić, gotów jestem zwrócić jej rękopis za 500 zł., więc proszę odpowiedzieć przez tegoż posłańca, czy Szanowna Pani zgadza się na załatwienie w ten spozób sprawy, policji proszę nie zawiadamiać. Z poważaniem „Złodziej". Pani Zarzycka dała posłańcowi bilecik z odpowiedzią: „Zgadzam się". Oczywiście o treści tego niezwykłego listu zawiadomiła policję. Następnego dnia przyszedł znowu posłaniec z listem. Tym razem złodziej żądał złożenia 500 zł. do koperty, za które po upływie godziny odniesie rękopis. Złodziej na dowód, że istotnie jest w posiadaniu rękopisu, przesłał pierwszą jego kartkę. P. Zarzycka stosownie do instrukcji policji włożyła do koperty kilka świstków papieru i zaklejoną kopertę wręczyła posłańcowi. W ślad za posłańcem podążyli dwaj wywiadowcy. Na posłańca oczekiwał złodziej przy zbiegu ul. Tłumackiej i Przejazd. Złodzieja aresztowano. Teczkę i rękopis miał on przy sobie. Jak się okazało, jest to wielokrotnie notowany i karany zawodowy złodziej kieszonkowy Chenoch Przetocznik. Osadzono go w areszcie.

Bohaterska śmierć chłopca. Jak donoszą pisma poznańskie, szalał jednej z ostatnich nocy wielki pożar w Łabędzinie (pow. Strzelno). Krótko po północy zaalarmowane zostały pobliskie straże ogniowe, wydobywającemi się z zagrody Andrzeja Majewskiego gęstemi kłębami dymu. Nim przystąpiono do akcji ratowniczej, pożar objął całe gospodarstwo oraz 3 krowy, 2 jałówki, 1 konia i 2 świnie. Bohaterską śmiercią zginął służący 14 letni Jan Gorczyński. On pierwszy zauważył pożar, pobudził wszystkich mieszkańców i zabrał się do ratowania dobytku swego chlebodawcy. Rzucił się do płonących budynków i wyrzucał raz stół, raz krzesło, raz pierzynę. Płomienie objęły całe jego ubranie. Nie ratował siebie. Rano, pod zgliszczami domostwa, znaleziono zwęglone zwłoki biednego chłopca. Są pogłoski, że pożar podłożony został z zemsty przez sąsiadów.

16-letni prorok pod Trzemesznem. Do wsi Smolary pod Trzemesznem w Poznańskiem przybywają z okolicznych wsi całe pielgrzymki ludzi, pragnących ujrzeć 16-letniego „proroka", Stanisława Skraburskiego, syna wyrobnika, leżącego od szeregu dni w łóżku w stanie jakby jakiejś ekstazy. Z oczyma obróconemi w słup, jakby zapatrzonemi w nieziemskie jakieś sfery, przyciszonym głosem wygłasza on „kazania" do zebranych rzesz, przyczem, jak to stwierdził jeden z posterunkowych P. P. z Trzemeszna, wykazuję wielką inteligencję i wyczucie myśli drugich ludzi i to nawet na pewną odległość. Na zadawane pytania odpowiada zwięźle, jasno, nie daje się oszukać co do wieku obecnych, choć zupełnie obcych sobie ludzi, których myśli odgaduje. Skraburski chciał zawsze zostać księdzem, a kiedy przekonał się, że marzenie to jest nieziszczalne, zapadł w depresję, która zwróciła uwagę najbliższego otoczenia. Chłopiec, zdradzający coraz większą niechęć do życia, począł unikać ludzi i przez szereg dni nie odzywał się do nikogo ani słowem. Wreszcie pewnego razu kupił denaturu w zamiarze samobójczym, w dokonaniu rozpaczliwego kroku przeszkodzili mu jednak rówieśnicy. Otoczenie, znające myśli i pragnienia niedoszłego samobójcy, poradziło ojcu, żeby do syna, który zupełnie zaniemówił, odezwał się słowami: „Ojcze misjonarzu". Na dźwięk tych słów wpadł Skraburski w opisany wyżej stan ekstatyczny.

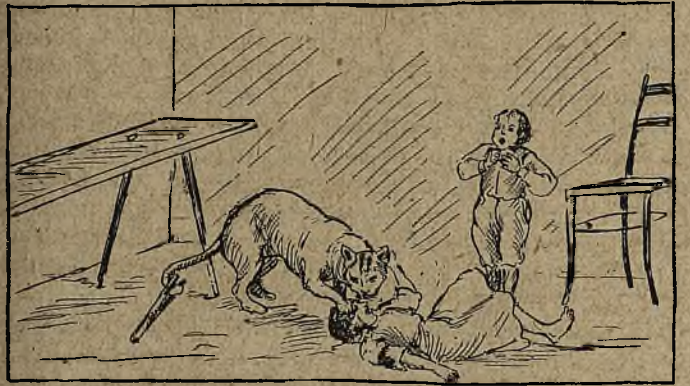
Straszna katastrofa kopalniana wydarzyła się w Nowej Rudzie pod Wrocławiem. W szybie „Kurt", gdzie pracowało 191 górników, nastąpiła w pewnej chwili gwałtowna eksplozja pyłu węglowego, zasypując żywcem wszystkich górników. Na miejsce katastrofy przybyły natychmiast oddziały ratunkowe i sanitarne z pobliskich szybów, które w gorączkowym pośpiechu przystąpiły do wydobywania zasypanych. Wedle wiadomości z Nowej Rudy, do chwili, gdy te słowa piszemy, wydobyto 69 zwłok, zaś 48 górników wydobyto ciężko rannych. 73 górników pozostaje jeszcze w zasypanym szybie i wątpliwem jest, czy uda się ich wydobyć żywych. Przed wejściem do kopalni rozgrywają się straszne sceny. Setki kobiet i dzieci w największej rozpaczy szarpią sobie włosy i ubrania i domagają się dostępu do wydobytych już górników.

Naga Ewa w samochodzie. Między Poczdamem a stacją kolejową Rehbröcke w Niemczech wydarzył się onegdaj w nocy niezwykły w kronice kryminalnej wypadek napadu. Do Berlina wracała samotnie samochodem, którym sama kierowała, pewna piękna i młoda automobilistka. Tuż za dworcem kolejowym nadjechał z przeciwnej strony samochód, który zmusił przy pomocy manipulowania światłem automobilistkę do usunięcia się na krawędź drogi i zatrzymania samochodu. W chwili, gdy automobilistka zatrzymała swój samochód, wysiedli z drugiego samochodu trzej nieznani mężczyźni, którzy pod grozą rewolweru ograbili ją z wszystkich kosztowności. Potem rozebrali automobilistkę, zabrali jej suknie i bieliznę i zostawili ją zupełnie nagą w samochodzie. Automobilistka udała się pod osłoną nocy do najbliższego posterunku żandarmerji i zawiadomiła go o wypadku. Tam dostała prowizoryczne okrycie, następnie zatelefonowała do swego mieszkania, aby przysłano jej suknie. Policja wszczęła w tej tajemniczej sprawie śledztwo. Przypuszczają, że napad i grabież były sfingowane, aby nadać całej historji pozór napadu rabunkowego. W rzeczywistości chodziło o akt zemsty na automobilistce.

Sprawiedliwy sąd bocianów. Mieszkańcy wsi Sommerfelde koło Eberswalde w Prusach byli świadkami niezwykłego wypadku. Od dłuższego już czasu, bo

od kilku lat, powracała zawsze pewna para bocianów do tego samego gniazda, położonego na jednej stodole. Kiedy w roku obecnym powróciła, jak corocznie, para bocianów i zadomowiła się na dobre w swem gnieździe, nadleciała wkrótce druga para bocianów, która, jak to wyraźnie można było zauważyć, brutalnie zrzuciła z gniazda prawych jego właścicieli i sama je zajęła. Skrzywdzone bociany odleciały. W kilka dni potem zleciało się na łące opodal wsi około 20 bocianów, pomiędzy któremi znalazły się także owe dwa wyrzucone z gniazda bociany. Po upływie dłuższego czasu, który był przeznaczony, jak było można wyczuć, na przybycie oskarżonych, poleciała eskadra, złożona z ośmiu bocianów, do gniazda i siłą wyrzuciła napastników. Następnie silnemi uderzeniami dziobów zmusiła do stawienia się przed sądem bocianim na łące. Rozprawa nie trwała długo. Skrzywdzeni, eskortowani przez bocianów, zostali wprowadzeni na nowo do swego poprzedniego mieszkania, podczas gdy reszta bocianów rzuciła się na dwa bociany, stojące już odtąd poza nawiasem społeczności bocianiej i potężnemi uderzeniami dziobów zmusiła je do sromotnej ucieczki. Po kilku godzinach, kiedy już wszystko się uspokoiło, odleciała także pozostała jeszcze przez jakiś czas straż policyjna.

Straszne skutki drażnienia kota. Kilkoletnia córeczka rzemieślnika, zamieszkałego w pewnej wsi pod Drezdnem, mimo przestróg matki lubiała męczyć kota. Kiedy matka wyszła z izby, dziecko wzięło rozszczepione drzewo i włożyło w nie ogon kota. Wściekłe z bólu zwierzę, rzuciło się na dziecko i pokaleczyło je strasznie, wydrapało mu oczy, poszarpało nos i twarz.



Matka, usłyszawszy głos dziecka, wbiegła i znalazła je we krwi leżące na ziemi. Zawezwany lekarz orzekł, że jedno oko jest zupełnie stracone, zaś drugie może się uda uratować.

Straszliwy czyn kapitana okrętu. W Antwerpji odkryła policja w tych dniach zbrodnię, którą popełnił kapitan greckiego parowca „Theodorus Calaquis", Aristides Angelos na trzech pasażerach jadących bez karty na t. zw. „gapę". Na posterunku policyjnym w Antwerpji zjawił się Fernando Alcantara, 18 letni Hiszpan i zeznał, że wraz dwoma przyjaciółmi przed kilku tygodniami w hiszpańskim porcie Huelva wtargnął pokryjomu na pokład okrętu, aby odbyć podróż „na gapę"... Etapem końcowej podróży było miasto Gent w Belgji. Na pełnem morzu odkryto trzech młodzieńców hiszpańskich. Zaprowadzono ich do kapitana, który, nie zastanawiając się długo, rozkazał rzucić ich do morza. Marynarze spełnili wydany rozkaz. Wszyscy trzej byliby utonęli, gdyby nie stanęła w drodze żona kapitana. Udało się jej gorącemi prośbami skłonić furjata, aby przynajmniej spuścił na morze czółno. Dla jednego z biedaków było już za późno. Nie mógł sobie dać rady z potężnemi bałwanami morskiemi i utonął. Dwóch innych, wśród nich wyżej wspomniany Fernando Alcantara, znowu wywindowano na pokład Gdy przybyto do Gent, kapitan ofiarował im znaczną sumę pieniężną, aby zachowali milczenie o śmierci przyjaciela. Mimo to jednak Alcantara uważał za swój obowiązek uwiadomić o tragicznym wypadku policję. Obecnie wdrożono śledztwo przeciwko nieludzkiemu człowiekowi.

Jak stwierdzić śmierć pozorną? Trzydziestu pięciu lekarzy francuskich, należących do parlamentu, wypracowało memorjał, który żąda, ażeby stwierdzenie zgonu odbywało sią na podstawie bardziej ścisłych i naukowych dowodów. Lekarze-posłowie dowodzą, że na prowincji stwierdzenie zgonu dokonuje się częstokroć bardzo pobieżnie i lekkomyślnie i że w wielu wypadkach grzebie się żyjących ludzi. Członek instytutu medycyny sądowej Dr Dervieux przedstawił swój własny projekt sposobów stwierdzenia zgonu. Według Dr Dervieux zupełnie pewnie można stwierdzić zgon przy pomocy eteru. Jeżeli zastrzykniemy do mięśni człowieka zmarłego eter, to wypłynie on z powrotem. Jeżeli mamy do czynienia z wypadkiem pozornej śmierci, to eter zostania wchłonięty przez organizm. Drugim sposobem niezawodnym stwierdzenia zgonu jest zastrzyk niewielkiej dozy związku organicznego, zwanego fluoresciną. Jeżeli „nieboszczyk" jest jeszcze żywy, to ciało jego zabarwi się na kolor zielonkawy. Projekt Dra Dervieux zostanie poddany rozwadze parlamentu francuskiego.

Żmija swatką. W dziennikach jugosłowiańskich znajdujemy następującą ciekawą i wzruszającą historję: W miejscowości Sutińska w pobliżu Warażdynu (w Jugosławji) żyje bogaty wieśniak, nazwiskiem Vugrinec. Jego syn pracowity i solidny chłopak, zakochał się po uszy w młodej dziewczynie, Jalfie Słokic. Andrzej chciał ukochaną poślubić. Rodzice jednak stanowczo nie chcieli na to pozwolić, gdyż pragnęli dla syna żony bardzo bogatej, a Jalfa była wprawdzie zacną i poczciwą, nie miała jednak posagu ani grosza. Między Andrzejem a rodzicami, a zwłaszcza ojcem, doszło na tem tle do gwałtownego konfliktu. Wreszcie Andrzej opuścił dom rodzicielski i poszedł do służby u sąsiada jako parobek. Widywał się teraz swobodnie z ukochaną i czekał tylko sposobnej chwili, aby założyć ognisko domowe. — Pewnej niedzieli siedzieli kochankowie na łące. Było bardzo gorąco. Andrzej zdjął surdut i buty i cieszył się przy boku narzeczonej radością odpoczynku niedzielnego. Nadszedł wieczór. Trzeba było wracać do domu. Andrzej wdział szybko buty i powstał. Nagle krzyknął przeraźliwie i szybko zdjął but z lewej nogi. Z czarnej cholewy wysmykła się szybko żmija... Chłopcu zagroziło poważne niebezpieczeństwo. Zrozumiała to Jalfa, która rzuciła się na kolana i wyssała ukochanemu truciznę z groźnej rany. To rzeczywiście uratowało Andrzeja. Gdy dowiedzieli się o tem rodzice chłopca, tak się przejęli niebezpieczeństwem, grożącem Andrzejowi i dzielnym czynem Jalfy, że sami, z własnej woli wyrazili zgodę na związek małżeński młodych. Tak więc żmija poraz pierwszy może w dziejach ludzkości odegrała rolę swatki...

Jezioro krwi. Donoszą z Trydentu: Towarzystwo Alpinistów trydenckich w swem sprawozdaniu zamieszcza ciekawy opis alpejskiego jeziora Tovel, znanego jako Czerwone Jezioro albo Jezioro Krwi. Istotnie zabarwienie znacznej części tego jeziora długości około 1000 metrów i głębokości 35 metrów jest krwisto czerwone. Prof. Wiktor Largaiolli, który studjował ostatnio ten ciekawy fenomen, przypisuje to zabarwienie niezliczonym kolonjom żyjątek z rodzaju „Glenodinium oculata" rozmnażającym się w wodzie alpejskiego jeziora. Zwłaszcza po burzy całe jezioro wygląda jak olbrzymia

plama krwista. Jezioro to przyciąga, zwłaszcza latem, całe rzesze turystów.

Wielka katastrofa kolejowa. Na stacji kolejowej Sasso we Włoszech wydarzyła się wstrząsająca katastrofa kolejowa. Wskutek fałszywego nastawienia zwrotnic, pociąg przepełniony pasażerami, wjeżdżając na stację, zderzył się z wyjeżdżającym z dworca pociągiem towarowym. Skutki zderzenia były straszne. Obydwa parowozy wryły się w siebie, a pierwsze wagony obydwóch pociągów uległy zupełnemu zniszczeniu. Podczas podjętej natychmiast akcji ratunkowej z pod gruzów pierwszego wagonu III klasy pociągu osobowego wydobyto 14 straszliwie zniekształconych zwłok i kilkanaście ciężko rannych, z których dwaj zmarli po przewiezieniu ich do szpitala, wobec czego ogólna liczba ofiar śmiertelnych wynosi 16. Również pasażerowie dalszych wagonów odnieśli ciężkie obrażenia i odwiezieni zostali do szpitala. Zawiadowca stacji Sasso, wobec katastrofy, wystrzałem z rewolweru popełnił samobójstwo. Liczba rannych wynosi 50, z tego 36 ciężko. Rannych przewieziono pierwszym pociągiem ratunkowym do Bolonji. Wszyscy ranni i zabici są pochodzenia włoskiego. Część zabitych jest zmasakrowana do niepoznania. Między zabitymi są dwie matki małych dzieci, które nie odniosły najmniejszej szkody, oraz kilku żołnierzy. Skutki zderzenia były w wagonach klasy trzeciej, które były przepełnione.

Pogrzeb karła o złotem sercu. Miejscowość Holshire w Anglji była terenem niezwykłego pogrzebu. Koleją, samochodami, motocyklami zjechali na ten pogrzeb niesamowici goście. Było tam kilkudziesięciu liliputów, para rodzeństwa zrośniętego bokami, kilku olbrzymów, człowiek szkielet, najgrubsza kobieta na świecie, dwu ludzi bez rąk i wielu jeszcze innych cudaków, wszyscy śmiertelnie smutni. Wyniesiono trumnę, a raczej maleńką nieledwie że dziecinną trumienkę. Była ona za wielka dla tego, który w niej spoczywał. Kryła bowiem zwłoki Elkie Clarka, liliputa, mierzącego 3 stopy i 2 cale i znanego pod imieniem „największego karła" świata. Elkie Clark od 18 roku życia występował w angielskich teatrzykach. Śpiewał kuplety, tańczył, grał, robił sztuki na trapezie. W 50 roku życia, sławny i bogaty, wycofał się z występów i zamieszkał w małym domku na wsi. Nie zapomniał o swych dawnych kolegach, zwłaszcza o tych, których natura upośledziła i zapisał im swój dom jako schronisko dla emerytów-cyrkowców i cały swój majątek na utrzymanie tego schroniska. Dlatego też stawili się tak tłumnie, by oddać mu ostatnią przysługę.

Ojciec licznego potomstwa. Pisma hiszpańskie donoszą, że w małej mieścinie tamtejszej Lecas, mieszka zamożny kupiec niejaki Gomez Rosilio, mogący uchodzić za ojca najliczniejszego na świecie potomstwa. Żona jego, 43-letnia Marja, powiła mu dotychczas 27 dzieci, które wszystkie cieszą się doskonałem zdrowiem. Rekordowe to małżeństwo miało dotychczas dwa razy trojaczki a cztery razy bliźnięta. Jedynem zmartwieniem małżonków ma być fakt, że wśród licznego potomstwa posiadają „tylko" 11 synów, a aż 16 córek, przyczem ostatnie 10-ro dzieci były wszystkie płci żeńskiej. Przy tej sposobności znane pismo hiszpańskie „A.B C." podaje wiadomość, że w roku 1853 żyło podobno w Rosji małżeństwo, posiadające czeladkę, złożoną aż z 72 dzieci, przyczem sędziwy ojciec był dwukrotnie żonaty. Miał on z pierwszego małżeństwa 57 dzieci, z drugiego zaś 15 dzieci.

Żona udająca papugę. W sądzie londyńskim toczył się świeżo proces, niepozbawiony swoistej humorystyki. Jako oskarżony stanął tam mianowicie pewien handlarz papug, który czterem różnym nabywcom sprzedał cztery niezwykle pojętne, a przytem czarne papugi, paplające pełnych kilkanaście zdań z docinkami i dowcipami. Papugi te, przyniesione przez nabywców do domu, zacięły się jednak i ani słowa z siebie wydobyć nie chciały. Kiedy sprawa przyszła do sądu, handlarz bronił się przed zarzutem, a na dowód zademonstrował, że te same papugi wszystko to mówią, czego od nich żądano. Jakoż istotnie dowód udał się mu znakomicie i sędzia miał już wydać wyrok uwalniający, gdy wtem na żądanie jednej ze stron przystąpiono do próby dodatkowej. A próba ta zawiodła całkowicie, bo — jak się okazało — w międzyczasie opuściła już salę sądową żona oskarżonego handlarza, a nieszczęśliwa ta osoba — co właśnie teraz wyszło na jaw — jest brzuchomówczynią i znakomicie naśladowała bezdźwięczny głos papugi. Łobuz, który swej żonie kazał udawać papugę, został wobec tego sromotnie zasądzony na zwrot pobranych pieniędzy, a nadto otrzymał karę aresztu za usiłowane oszustwo.

Nagły zgon Conan Doyle'a. Twórca znanych w całym świecie powieści kryminalnych, Conan Doyle, zmarł nagle w Londynie, licząc 71 lat życia.

Katastrofy żywiołowe. Według doniesień z Tokio północna Japonja nawiedzona została klęską powodzi, która przybiera zastraszające rozmiary. Najbardziej ucierpiała prowincja Jamagata (około 250 klm. na północ od Tokio). Według pierwszej wiadomości 27 osób poniosło śmierć, zaś tysiące znajduje się bez dachu nad głową. Poziom rzek podniósł się do 5 metrów. Straty materjalne wynoszą miljonowe sumy. Komunikacja kolejowa została w wielu miejscach przerwana, zaś mosty i tamy zerwane. Z Kalkuty w Indjach donoszą, iż w prowincji Bengalja dało się odczuć silne trzęsienie ziemi, które trwało około 9 minut. W wielu miejscowościach zawaliły się budynki. Są ofiary w ludziach.

Co 13 minut ślub, co 6 minut urodziny. Nowy Jork wyrósł obecnie do gigantycznego miasta, posiadającego największe drapacze chmur, najlepsze telefony i najniebezpieczniejszych bandytów. Jest to miasto, w którem króluje cyfra, a nawet psychologja jego wyraża się statystyką. Z ostatniej więc statystyki wynika, że Nowy Jork, liczący 5,600.000 mieszkańców posiada więcej telefonów niż Paryż, Berlin i Rzym razem wzięte. Prócz tego posiada Nowy Jork 2.000 teatrów i kinoteatrów. Co 13 minut odbywa się w Nowym Jorku ślub, co 6 minut urodziny. Co 17 minut samochód przejeżdża na ulicy jakiegoś przechodnia. Co 51 minut powstaje nowy dom. Mimo to panuje w Nowym Jorku wielki głód mieszkaniowy, gdyż mimo szalonego tempa w budowaniu nowych domów, tempo to nie dorównuje szybkości nowych ślubów i urodzin.

Nieoczekiwany spadek. Podczas wielkich bitew na froncie zachodnim w r. 1918, pewien żołnierz amerykański nazwiskiem Bingham, pochodzący z Kalifornji, znalazł w ogniu huraganowym ciężko rannego młodego Francuza. Z narażeniem własnego życia wyniósł go z pod obstrzału w bezpieczne miejsce. Ranny dziękował mu gorąco, powiedział, że się nazywa Renault, że pochodzi z Paryża i prosił swego wybawcę o zostawienie swojego nazwiska i adresu. Więcej się nie widzieli. Bingham wrócił do Ameryki i zapomniał o wszystkiem. Parę dni temu, a więc po 12 latach, Bingham otrzymał list od notarjusza rodziny Renault w Paryżu. List ten donosił, iż ojciec młodzieńca, który uszedł z życiem z pod ognia, umarł i zapisał Binghamowi piątą część majątku. Wynosi to półtora miljona franków. Spadły one poczciwemu Amerykaninowi jak z nieba.

RZECZY CIEKAWE.

Czem gasić pragnienie w upały?

Jedną z najbardziej żywotnych spraw obecnie stał się upał i możność znoszenia go. Pożądanie chłodzących napojów przerasta nawet pożądanie jadła, zwłaszcza wobec kurzu, powodującego niesłychanie dokuczliwe wysychanie gardła i przełyku. Powstaje więc narzucająca się z nieubłaganą koniecznością kwestja gaszenia pragnienia.

W krajach gorących, gdzie upały są w ciągu znacznej części roku zjawiskiem stałem, a nie wyjątkowem jak u nas, wypróbowano działalność chłodzącą rozmaitych napojów i wynik tych prób wykazał znakomitą przewagę nad wszystkiemi innemi dobrze osłodzonej lekkiej herbaty, a także wody z dodatkiem cukru i soku z cytryny. Temu wynikowi prób zawdzięcza też niebywały swój rozwój fabrykacja wszelkiego rodzaju gotowych lemoniad, sporządzonych naturalnie syntetycznie, bowiem ze świeżych, naturalnych cytryn, czy innych soków owocowych wypadłaby produkcja znacznie drożej, nie nadając się do masowego spożycia. Nie mówi się już, rzecz prosta, o złej woli i świadomem fałszowaniu tych napojów, o używaniu do nich sacharyny i rozmaitych bezwartościowych dodatków, samo już jednak fabryczne ich przygotowanie wyklucza możność użycia do sporządzenia ich składników wartości pierwszorzędnej, jak cukier i sok świeżych cytryn, czy innych owoców. Używanie gotowych preparatów fabrycznych usprawiedliwione może być, ilekroć się jest poza domem, na ulicy; natomiast, w najskromniejszym nawet domu nie przedstawia trudności trzymanie butelki z przegotowaną wodą w głębszem naczyniu z wodą zimną wciąż zmienianą (o ile się niema lodowni z lodem), oraz zaopatrzenie się w kilka cytryn i trochę miałkiego cukru. Koszt takiej lemoniady, przyrządzonej w domu, smacznej nietylko absolutnie bezpiecznej dla zdrowia, ale bardzo korzystnie wpływającej, dzięki wartości odżywczej cukru, naturalnego kwasu cytrynowego i zawartych w świeżych cytrynach witamin, nietylko nie przewyższa kosztu fabrykowanych sztucznie lemoniad i tak zwanych wód owocowych, ale bodaj że jest niższy jeszcze. Z połowy wyciśniętej cytryny — za 15 groszy, najlepsza cała cytryna kosztuje obecnie 30 groszy — oraz cukru za 5 groszy i wody, której koszt jest prawie żaden, zatem za 20 groszy, otrzymujemy ilość wybornej lemoniady, niemniejszą niż ta, jaką daje buteleczka napoju tego, produkowanego fabrycznie i kosztującego w lepszych gatunkach 30 groszy, w gorszych — 25 groszy.

Rachunek zatem przedstawia się bardzo prosto: o drożyźnie domowej naturalnej lemoniady w stosunku do produktu fabrycznego mowy być nie może. Praca i czas sporządzania domowej lemoniady są w dodatku tak minimalne, że jako czynnik decydujący zupełnie zaważyć nie mogą, zresztą łatwo jest w wolnej chwili przygotować z paru cytryn i odpowiedniej ilości miałkiego cukru syrop cytrynowy.

Dziwaczne testamenty.

Spotykamy się dziś bardzo często z dziwacznymi testamentami, pocieszyć się jednak należy, że dziwaczniejsze znacznie istniały w czasach dawnych.

I tak: Edward I., król Anglji, który zmarł w roku 1330, polecił przed śmiercią synowi swemu, późniejszemu królowi Edwardowi II., gotować swe zwłoki w garnku tak długo, aż ciało oddzieli się od kości. Następnie ciało pochować jako talizman przeciw buntom szkockim.

Jan Żyżka, wódz czeski, żądał, by po śmierci skórę jego wyprawiono na bęben. Twierdził, że dźwięk tego bębna wystraszy z pewnością wrogów, tak jak obecność jego na polu walki straszyła ich za życia.

Hrabia Mirandole, który zmarł w r. 1825, kazał ciałem swem karmić karpia, którego hodował od lat dwudziestu.

Pewien bogaty plantator amerykański naznaczył swym generalnym spadkobiercą ulubionego wyżła, posługaczkę zaś, która od lat wiernie mu służyła, zamianował opiekunką psa i zarządzającą całym tym majątkiem.

W r. 1776 kapitalista angielski, który zrobił na giełdzie majątek w wysokości 60.000 funtów szterlingów, przekazał majątek ten kuzynowi, pod warunkiem jednak, że ten będzie codziennie przesiadywał na giełdzie od godziny 2 do 3 po południu.

Kraj wszelkich możliwości.

Krajem wszelkich możliwości nazywają się Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Są tam największe skupienia narodowościowe rozmaitych odcieni.

W Nowym Jorku więcej jest żydów, niż w Jerozolimie, w Bostonie więcej Irlandczyków niż w Corcu, więcj Włochów w Nowym Jorku, niż w Rzymie. W Chicago jest więcej Polaków niż w Krakowie.

W Pensylwanji jest miasto Roseto w 100 proc. włoskie. Mieszkańcy jego wszyscy pochodzą z miasta Roseto we Włoszech, lub są bezpośrednimi potomkami emigrantów. Wszystkie władze i instytucje miejskie są włoskie. Tłumaczów nie potrzeba nigdzie. Na ulicy słyszy się tylko język włoski, ale już z pewnemi błędami.

Dziesięć przykazań dla kąpiących się.

Sezon kąpielowy w całej pełni. W rzekach, stawach, jeziorach i morzach kwitnie sport pływania. Sport ten, zarówno jak sport kąpania się, posiada poza swojemi niezwykle dodatniemi stronami, wpływającemi na zdrowie i higjenę ciała, również swoje wady i niebezpieczeństwa. Każde lato porywa wiele ofiar z pośród kąpiących się. Już z początkiem sezonu kąpielowego jest ich znaczna liczba. Nieszczęścia te wynikają czasem z przypadku, najczęściej jednak z winy samych kąpiących się, z ich własnej nieostrożności. Bo są pewne reguły kąpania się, których każdy kąpiący się musi przestrzegać.

Pierwsze przykazanie brzmi:

Nie wolno przebywać zbyt długo w wodzie. Kto pływa, może przebywać dłużej, ponieważ wskutek wysiłku ciało rozgrzewa się znacznie. Ale pierwszy dreszcz zimna jest oznaką, że należy już wyjść z wody.

Nie wolno kąpać się bezpośrednio po jedzeniu, najwcześniej w dwie lub trzy godziny.

Nie powinno się kąpać samotnie, zwłaszcza w nieznanych lub niebezpiecznych miejscach. Badanie głębi należy przeprowadzać przy pomocy sznura, który się przywiązuje do ciała. W czasie badania towarzysz kąpieli, stojący na brzegu, trzymać powinien drugi koniec sznura.

Przed kąpielą należy oczyścić należycie nos, aby można było łatwo oddychać.

Kto choruje na uszy, powinien włożyć do nich przed wejściem do wody kawałek waty.

Nie powinno się zapuszczać zbyt daleko na wodę, gdy wieje silny wiatr od strony lądu, ponieważ droga powrotna jest bardzo trudna dla pływającego.

Nie powinno się kąpać w stanie zadyszanym — wskutek biegania, jazdy itp.

Po kąpieli powinno się mocno wytrzeć całe ciało.

Należy uważać w czasie pływania, gdy dno jest kamienne lub porośnięte roślinami wodnemi. Można się łatwo uwikłać w rośliny. Najlepiej pływać w takich wypadkach na grzbiecie. Nie wolno zmuszać gwałtem współkąpiących się do pływania, skakania do wody lub nurkowania, nie wolno ich przerażać, — gdyż łatwo wydarzyć się może nieszczęście.

W razie niebezpieczeństwa, należy krzyczeć dopiero w ostateczności o pomoc, gdyż w chwili wołania o pomoc i krzyku, wydechuje się z płuc powietrze i traci się nagle siły, które potrzebne są do utrzymania ciała na powierzchni.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Józef Górecki** w K.: Wszystkie zagadki Pańskie czekają w tece na druk. Rebusy wyretuszowane prosimy nadesłać. Niech Pan przy rysowaniu stara się, aby wszystkie miały jednakową szerokość, gdyż wówczas można z kilku naraz zrobić jedną kliszę. **Piotr Glica** w S. G.: Nadesłane nam zagadki przeznaczamy do druku. **Leopold Wołek** w B.: „Rola" ma dużo prenumeratorów, ale jeszcze nie tyle, ile ich mieć powinna i ileby ich mieć mogła. Ludzie chętnieby czytali, ale zadarmo. Zagadki zamieścimy. **Wincenty Cebula** w Z.: Maciek się z nikogo nie naśmiewa, lecz tylko wyśmiewa wady ludzkie. Kto tych wad nie ma, nie potrzebuje się obawiać jego języka, a kto je ma, to najlepiej niech się z nich wyleczy. Co do objętości „Roli", to nie przeczymy, że jest ona mała, ale w każdym razie dwa razy większa od innych ludowych gazetek. „Rola" mogłaby powiększyć swą objętość, względnie dawać jakieś dodatki, gdyby się liczba jej prenumeratorów podwoiła. A to już nie od nas zależy. „Humoreska" Pańska już jest złożona w druku. **Stanisław Łętowski** w C.: Tak z humoru, jak i z zagadek skorzystamy. **Adam Galer** w K.: Poprzednio nadesłane rozwiązania zamieszały się nam w rękopisach i dlatego brało Pańskiego nazwiska. **Wawrzek Miesiączek** w L.: Nadesłana humoreska pójdzie jeszcze w tym miesiącu. „Zemstę" niech Pan nieco skróci i nadeśle ponownie. **Józef Sikora** w U.: W Krakowie teraz jest tylko jedno takie biuro, a mianowicie: Miejskie Biuro pośrednictwa pracy, ul. Lubelska. Na świadectwie najlepiej napisać: Sprawował się lub sprawowała pod każdym względem wzorowo i to wystarczy. **Jan Kubielas** w R.: Prace nad budową wspomnianej kolei jeszcze nie rozpoczęte, a kiedy je rozpoczną, również jeszcze nie wiadomo. **Józef Staniek** w Z.: Nadesłane zagadki przeznaczamy do druku, kiedy je jednak zamieścimy, trudno oznaczyć, gdyż zapasy mamy bardzo wielkie. **Piotr Wenc** w S.: Artykulik otrzymaliśmy; pójdzie wkrótce. Za trzykrotne zamieszczenie 6.60 zł., załączamy czek. **Jan Kawalec** w K.: Może Pan kupić czek czeski i napisać numer konta naszego w Pradze 500.868 i nadesłać 15 kor. czeskich, a książkę wyślemy. Na czeku prosimy Berno przekreślić, a zostawić „Praga", bo nasze konto jest w Pradze. Jeżeli niema czeku, to można też potrzebną kwotę przesłać przekazem pieniężnym, adresując: „Pocztowy Urząd czekowy w Pradze 500.868". **Andrzej Kopeć** w R.: Przesłane swojego czasu 3.40 wpisaliśmy Panu na III. kwartał, a po wyjaśnieniu w ostatnim liście wpisaliśmy owe 3.40 zł p. Sotowi na I. kwartał i przesłaliśmy mu wszystkie numera I. kwartału. Zatem p. Sot powinien mieć wszystkie numera „Roli" od N. Roku do dnia dzisiejszego, a Pan pisze, że p. Sot w II. kwartale otrzymał tylko 3 numera. Niechże p. Sot napisze nam, których numerów z II. kwartału mu brak, to wyślemy powtórnie, a sołtysa gminy Marjampol zapytamy, gdzie się podziały. **Wincenty Kuglin:** Prosimy o podanie nam adresu p. Kuglina z Trzebini.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Adam Galer z K.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Sławny kronikarz polski.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Przeziębienie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wyspa grecka.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zwracać (w tył inaczej).
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zabezpieczenie okna
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Okaleczony.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Inaczej rachuje.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Krzak inaczej.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Łkanie, lament.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Przyrząd do gry.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Część drzewa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Nazwisko polsk. lotnika.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Utwór Kochanowskiego.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Mały koń
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Owoc afrykański.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Góra mityczna w Grecji.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko męża, znanego z historji polskiej.

2. Zagadka.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Coby się stało z Zjednoczonemi Stanami Poł. Północnej, gdybyśmy im skasowali noc?

3. Szarady.

(Ul. S. L. z P. Ż.).

I.

Z pierwszego drugiego pół trzeciego
Każdy utwór zbudowany,
Czwarte pół piątego zwierz
W lasach naszych rzadko spotykany,
Zaś drugie pół trzeciego
Służy do użytku domowego
Całości w szkolnym wieku
Uczysz się człowieku.

II.

(Ułożył Adam Galer z K.).

Pierwsze to cyrkowe zwierzę,
Które z dżungli życie bierze,
Drugie macie w alfabecie,
Szukajcie a znaidziecie.
Całość daje obserwacji wiele,
Gdzie go niema, źle się dzieje.

4. Konikówka.

(Ułożył Marjan Wietrzny).

	W	N	Z	A	
A'	Z	N	R	Ż	C'
S	T	Ł	K	Ż	S
O	O	O	Y	E	O
	Z	S	M	T	

Ruchem konika szachowego odczytać znane przysłowie.

5. Układanki botaniczne.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Zaimek + myśliwy = ?
Nuta + przyrząd rybacki = ?
Zaimek + ptak = ?
Miesiąc + okres czasu + spółgłoska = ?

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 25 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 27 „Roli": 1. Logogryf: Adam Mickiewicz. 2. Szarada: Szarada. 3. Zagadki: I. Koksskok. II. Targ-grat. III. Kos-sok. IV. Roma-amor. 4. Układanki: Kościuszko, Sobieski, Dąbrowski, Chmielnicki, Żółkiewski, Napoleon, Chłopicki.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali pp.: Stanisław Pawlasek z F., Piotr Wenc z S., Józef Staniek z Z., Jan Gałek z W., Marja Szafrańska z Cz., Jan Gara z W., Kazik Fornal z Cz., Tomasz Tiszler z St. S., Józef Kopacz z S., L. Kubonek z Dz., Alfons Czader z St. W., Franciszek Kawczak z O., Stanisław Kozicki z G., Adam Galer z K., Stanisław Łętowski z C., Piotr Glica z S G., Józef Topolski z B., Józef Górecki z K.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Gałek z W. i Stanisław Kozicki z G.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodówrolniczych

z dnia 12 lipca b. r.

Pszenica .	46·00—46·50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	18·50—19·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	20·50—21·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	19·50—20·00		
Fasola biała	54·00—58·00	Mąka żytnia	33·50—34·50
Groch zwyk.	32·00—33·00	Mąka pszen.	75·00—77·00

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 12 lipca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·90 do 1·38 zł.	Jałownik	od 0·94 do 1·40 zł.
Woły . .	od 0·93 do 1·42 zł.	Cielęta .,	od 0·89 do 2·07 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·35 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·90 do 2·40 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 2.80